

wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 22–29 sierpnia 1948 r.

Nr 34–35 (163–164)

W NUMERZE

między innymi:

- L. Sobierajski — Życie naukowe Wrocławia
- K. Borzęcki — Tradycje młodzieży niemieckiej
- A. Kamińska, M. Buczkówna, S. Piętał, T. Kubiak — Wiersze na Kongres
- S. Wysłouch — Wystawa Historyczna Ziemi Odzyskanych
- W. Styś — Zagadnienia mechanizacji rolnictwa
- S. Cieślak — Plany regionalne
- W. Zalewski — Spotkanie pod lasem
- W. Jedlicki — Mity rodzinne

DELEGACJA POLSKA NA KONGRES

Jerzy Borejsza

Prezes Spółdz. Wyd. „Czytelnik”, Red. Nacz. „Odrodzenia”.

W roku czterdziestym piątym z kraju Lincolna zaczęto straszyć świat bombą atomową, dolarami i teorią jakiejś jedynej władzy nad światem (czy to nie nowe imperium hitlerowskie?). Walce narodów o wolność własną przeciwstawiono majaki kosmopolitycznego rządu jednego kraju: — kto wie, może się uda raz jeszcze wywołać zastraszenie, histerię, niepokój, rozbroić czujność, uspić wolę i raz jeszcze spróbować drogi, na której nie tak dawno skaputtował twórca mitu „narodu panów”?

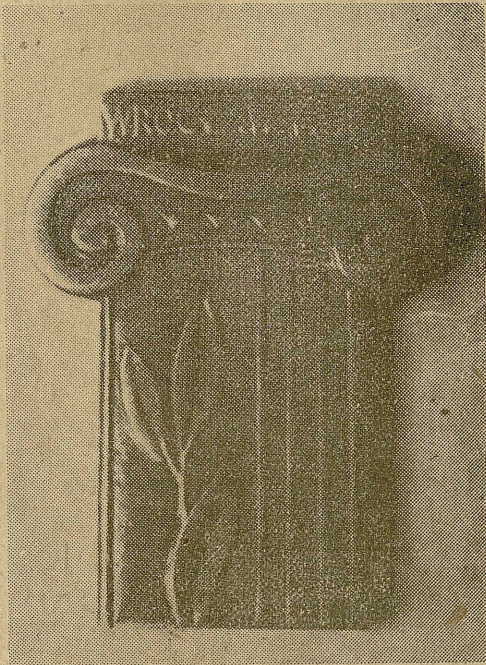
W czterdziestym ósmym roku właśnie w Polsce i właśnie we Wrocławiu po raz pierwszy po wojnie światowej spotykają się na Kongresie w Obronie Pokoju przedstawiciele świata nauki i kultury, przedstawiciele czterdziestu narodów. Jeśli przypominamy i uświetniamy tradycję kongresów okresu międzywojennego — to ani na chwilę nie możemy zapomnieć, że Kongres Wrocławski odbywa się w warunkach zgoła odmiennych.

I nas jest obecnie mrowie, — nas, to znaczy obywateli krajów, gdzie zmiana ustroju społecznego i politycznego unicestwiła źródła wojen, uczyniła walkę o pokój realną i trwałą — w porównaniu z obywatelami krajów, gdzie rządzą zwolennicy nowych wojen lub ich powolni wykonawcy. Druga wojna światowa udowodniła, że walka o pokój przestaje być czczym, bezwartościowym frazesem tylko wtedy, gdy łączy się z walką o postęp. Doświadczeni podstępny drogami hitleryzmu, wiemy już dziś niezbicie, że nie może walczyć o pokój naukowiec czy artysta, którego twórczości nie ożywia wielka wiara w postęp, wiara w wysokie posłannictwo sztuki i nauki, — który nie ma optymistycznej odwagi i spokoju, wypływającego z przekonania, że gnije i rozkłada się nie kultura europejska, ale — jej grabarze. Wiemy dzisiaj niezbicie, że nie ma realnej walki o pokój bez codziennej, bezpośredniej każdorazowej i każdominutowej łączności z potężnym ruchem robotniczym i jego rządami, tam gdzie on zwyciężył.

„Odrodzenie” nr. 34 (195).



Jerzy Borejsza



Odznaka Kongresu

Jarosław Iwaszkiewicz

ODA TRZECIA „NA BIEG MARATONSKI”

STROFA PIERWSZA

Radujcie się!
Nasze jest zwycięstwo!

Wy, na najpiękniejszych stadionach Europy zgromadzeni, wy najpiękniejsi, czujący w mięśniach piękno wasze i piękno waszych krajów.

Wy, wyhodowani szumem Niagary i pluskiem oceanów, karmieni winem i chlebem pozłocistej Francji, odziani wełną zielonych wysp Erynu, wyhodowani, wykołysani szumem mórz i motorów, upojeni szlakami fal i niebios, wsiuchani w ciszę Alp i szum lodowcowych wodospadów,

zatrzymujący się pod łukami zrujnowanych akweduktów, słuchający gitary i mandoliny, rozbrzmiewających po dolinach, pełnych strzelistych topoli,

wy ze stepów argentyńskich i puszczy brazylijskich,

wy, którzy biegniecie drogą greckiego żołnierza, który padł krzycząc: radujcie się! nasze jest zwycięstwo!

Pamiętajcie dobiegając do mety, aby wzniesić ten sam okrzyk.

A odkrzyknie wam cały świat!

Kiedy tak oto widzę was biegnących — teraz, kiedy jeszcze nie biegniecie,

i kiedy schowani w swoich muszlach jeszcze jesteście nieznani, przyszli zwycięzcy spod Maratonu,

i kiedy jesteście jak motyle w powijkach jedwabnych kokonów,

i kiedy myślicie tylko o sobie, ja myślę za was — i widzę już w słońcu i triumfie wasze uśmiechnięte twarze.

ANTISTROFA PIERWSZA

Ale kiedy widzę tak wasze młodzieńcze oblicza wynurzające się w przyszłość, widzę także i tych, którzy do mety nie dobiegli.

Biegli jak na skrzydłach, ale na spotkanie śmierci.

Śmierć ich była okrutna i żalosna, i samotna, hańbiąca i beznadziejna,

padali na wzrak i na twarz i niezamkniętym okiem patrzyli w niebo,

i zwartymi garściami ścisali ten sam żółty piasek, jakim wysypane są wasze bieżnie...

I nikt nie pamięta, że bieżnie waszych

najpiękniejszych w Europie stadionów posypane są piaskiem pomieszczonym z krwią,

i nikt nie chce wiedzieć, że w tym piasku drzemią kawałki połamanych mieczów i bagnatów, łuski wystrzelonych pocisków,

z których narodzić się mogą całe miche i bagnety, całe wstążki naboju, cała śmierć i całe zniszczenie.

Zakopano je głęboko pod piaskiem waszych stadionów.

Abyście biegnąc nie zranili nóg.

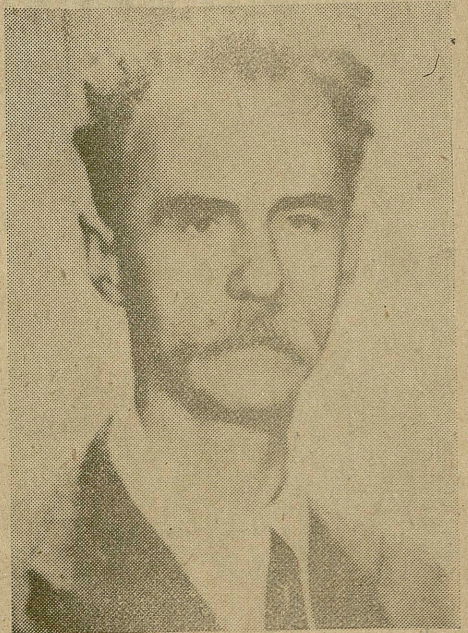
Ody Olimpijskie. Sp. Wyd. „Wiedza”, 1948.

Tadeusz Kotarbiński

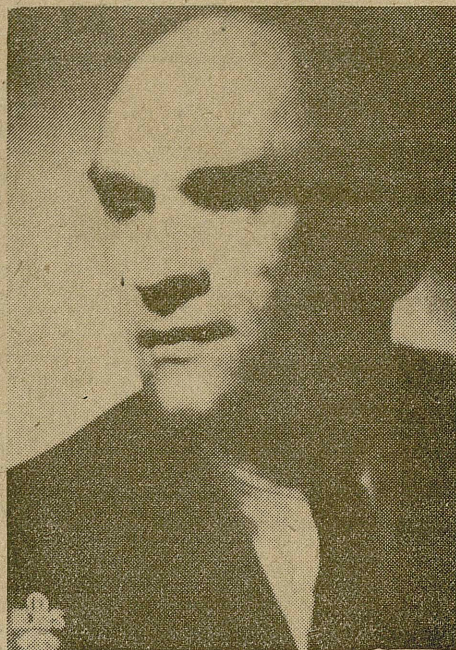
Rektor U. Ł.

Zapytajmy na zakończenie, czy dzieje osób i gromad pozwalają uznać ludzi na ogół za plemię realistyczne? Zamiast stanowczej odpowiedzi niechaj wolno będzie zaproponować metodę. Spróbujmy tłumaczyć czyny ludzkie przede wszystkim motywami obrony przed klęską już gniołącą lub oczekiwaną... A dopiero jeśli to zawiedzie, szukajmy innych motywów... Okazuje się, jak tużymy, że dość rzadko wypadnie się uciekać do owych innych motywów... Żołnierzy, nacierającemu w szeregach, sąd pospolity gotów przypisać choć napaścią jako główny motyw postępowania. Ale ci uczestnicy natarcia składają się w olbrzymiej większości z powołanych pod broń wbrew własnej chęci, pod grozą kary za dezercję. Władza zaś, która ich posłała, jakże często musiała tak uczynić, by zapobiec katastrofalnym skutkom bezbronności. Społeczeństwa boją się siebie wzajem i nie bez racji, wobec licznych doznanych od sąsiada ciosów... Trzeba tak przerobić ustrój świata, by potrzeby ludzi przestały się zahaczać jak koła pojazdów, splecione w fatalnym zderzeniu, lecz aby się zwierzały tak, jak ostrza kół zębatach w maszynie. Trzeba tak przerobić ustrój świata, by obawa ludów przed ludami straciła swoją zasadność. Dotychczas dzieje globu ziemskiego ujawniały takie postępy tylko na ograniczonych obszarach czasu i przestrzeni. W skali wieków i w skali globu ziemskiego dominował stan zagrożenia wewnętrznego i zewnętrznego. I ludzie dorodzi byli i są na ogół realistami praktycznymi, jakkolwiek nie byli i nie są nimi w pełni. Gdyby bowiem powszechnie i na serio wyznawali realizm praktyczny w myślach i czynach, nie byłoby na świecie tyle płaczu i zgrzytania zębów, ile się rozlegało i rozlega na tej planecie nieskończenie pięknej i jak dotąd — nieskończenie straszliwej.

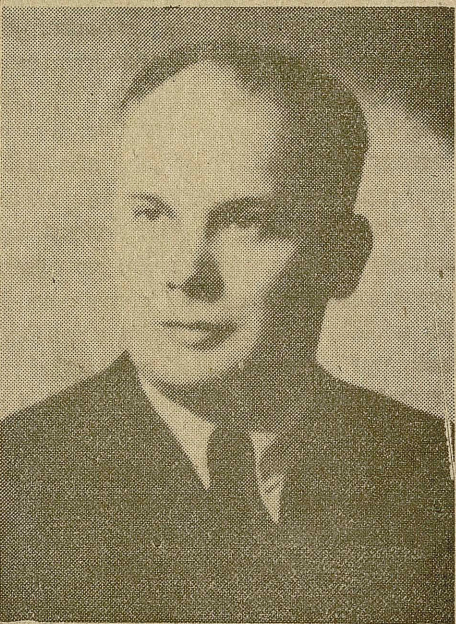
„Myśl współczesna” Nr 5 (24), maj 1948.



Prof. dr Tadeusz Kotarbiński

Jarosław Iwaszkiewicz
prezes Z.Z.L.P.

Prof. dr Jan Dembowski



Prof. dr Józef Chałasiński



Roman Palester

Jan Dembowski

Prof. biologii U. Ł.

Bezpośrednio wiąże się z tym drugi moment: rola społeczno-państwowa nauki. Stanowisko uczonego jest w Związku Radzieckim szczególnie zaszczytne. I rząd i społeczeństwo rozumieją jasno, że nauka jest wielką potęgą, z którą nikomu nie wolno się nie liczyć, że od stanu nauki zależy dziś byt państwa i że państwo jest bezpośrednio zainteresowane w popieraniu nauki wszelkimi środkami. Ale też uczone poczuwa się tu do obowiązku utrzymywania ścisłego kontaktu ze społeczeństwem, najwybitniejsi badacze znajdują czas na pisanie artykułów popularnych i wygłaszanie odczytów publicznych, nie obawiając się „wulgaryzacji” nauki lub „obniżania jej poziomu”. Dominuje zaś w nauce kierunek stosowany, opracowuje się przeważnie zagadnienia, mające znaczenie państwowe. Uważa się tu bowiem, że nadmierna indywidualizacja badań, jest raczej szkodliwa dla nauki, niż pożyteczna, gdyż znaczna większość pracowników naukowych składa się z wykonawców i odtwórców, dla których wybór opracowywanych zagadnień jest w znacznej mierze sprawą przypadku. Podkreśla się, że twórcza praca badawcza jest udziałem bardzo nielicznych, znakomita zaś większość pracowników na polu nauki marnuje

swoje siły, rozwiązując zagadnienia, które dla istotnego rozwoju nauki mają małe znaczenie. Uważa się też za rzecz słuszną, aby państwo wzięło udział w wyborze opracowywanych zagadnień. Skierowanie indywidualnych wysiłków ku użytecznym celom podnosi potęgę państwa, nie przeszkadzając wyżyciu się jednostek w pracy badawczej. Jednostki prawdziwie oryginalne i twórcze, wędrujące własnymi drogami, zawsze znajdują poparcie państwa i zrozumienie społeczeństwa, chociażby tematy ich prac nie obiecywały natychmiastowych zdobyczy praktycznych.

Zarazem wskazuje się na to, że rozwiązanie w skali państwowej, wielkiego zagadnienia praktycznego jest możliwe jedynie w drodze uprzedniego rozwiązania wielu problemów specjalnych, które często mają dużą wagę teoretyczną, a które nie byłyby w ogóle powstały, gdyby nie były szczeblami ku osiągnięciu wytkniętego celu. W ten sposób nie tylko nauka służy sprawom państwa, ale i odwrotnie, stawiane przez państwo zadania praktyczne, wzbogacają naukę przez powołanie do życia nowych zagadnień teoretycznych.

Nauka Radziecka. Sp. Wzd. „Książka”. 1947.

Stefan Żółkiewski

Redaktor naczelny „Kuznicy”

Rytm rozwoju nauk jest zasadniczo ten sam, co rytm rozwoju społeczeństwa. Krzywa rozwoju myśli badawczej nie jest wstępującą linią prostą znaczącą postęp gromadzenia faktów i krytycznego oczyszczania teorii. Rozwój nauki nie da się porównać do rzeki płynącej ciągle naprzód tym samym, coraz szerszym i coraz głębszym łozyskiem. Myśl teoretyczna przeżywa historyczne okresy dekadencji, odradza się poprzez rewolucyjne przełomy. Nie stanowi nieprzerwanego ciągu, gdzie

każdy krok nowy tłumaczy się bez reszty poprzednimi. Nauka w swoich dziejach zna wkłady twórcze, zna przykłady nowatorstwa — poczynającego epokę nową, naukę nową w całym tego słowa znaczeniu, nowatorstwa, które umie radykalnie oczyścić dorobek przeszłości z tego co przestarzałe, a przyjąć natomiast i podnieść na wyższy poziom wartości trwałe. Taką współcześnie jest twórcza rola marksizmu w historii wiedzy ludzkiej.

Kuznica nr. 28.

Stanisław Kulczyński

Rektor Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej

Wzmógł się napływ młodzieży w mury naszej Szkoły uważamy za zjawisko dodatnie mimo trudności, jakie on za sobą pociąga. Przyszłość nauki i kultury polskiej zależy między innymi od stworzenia szerokich rzesz konsumentów kultury i nauki. Nauka polska i polska twórczość kulturalna nie będzie rozwijać się tak długo, jak długo na rynku społecznym polskim nie pojawi się liczny konsument książki i produkcji naukowej. Upowszechnie pędu do wykształcenia wyższego, które wniosły ze sobą powojenne reformy społeczne wnoszą ze sobą elementy pozytywne dla rozwoju nauki mimo trudności, jakie doraźnie sprawia nadmierny napływ młodzieży, absorbując wszystkie siły personelu naukowego, powołanego poza dydaktykę do twórczej naukowej pracy. Trudności te pokonać będziemy musieli przez usprawnienie nauczania, a nie przez odmowę wstępu na uczelnie gromadzącej się młodzieży. Osiągnięcie tego postulatu nie jest dzisiaj możliwe w pełni wobec skrajnej redukcji środków nauczania i przestrzeni.

Skala stojących przed nami zadań i zagadnień zmusza nas do poszukiwania nowych form organizacyjnych. W dziedzinie tej osiągnęliśmy pewne sukcesy. Zjednoczyliśmy wydziały politechniczne z uniwersyteckimi w jedną organiczną całość. Skasowaliśmy tym sposobem przetrzytą hierarchię nauk, podkreślając ich

jedność i równość. Uzyskaliśmy tą drogą silniejsze podbudowanie nauk technicznych teorią, ogólną się w wydziałach uniwersyteckich; jednocześnie zaś wprowadziliśmy na wydziały uniwersyteckie prąd świeżego powietrza, wiejący od młodych technicznych nauk. Osiągamy tym sposobem dyktowaną duchem czasu równowagę pomiędzy humanistycznym przyrodniczym kierunkiem nauk. Rozluźniliśmy izolację wydziałów i oparliśmy nauczanie w naszej zjednoczonej Uczelni o ich kooperację. Równocześnie usiłujemy jednaczyć katedry pokrewne z różnych wydziałów w instytuty badawcze, oparte o kooperację katedr. Osiągamy tym sposobem intensyfikację pracy naukowej przy maksymalnej oszczędności środków.

Naczelna nasza troską jest rozbudzenie żywego ruchu naukowego w naszych instytutach i katedrach. Wychodząc z założenia, że trzeba się zwać z wielkimi sprawami, aby rozwijać się, rość równolegle z rozwojem wypadków, zważyliśmy nasze prace i nasze środki z planem trzyletnim odbudowy kraju. Nawiązujemy kontakt z przemysłem celem włączenia nauki w rozbudowę i organizację przemysłu na Ziemiach Odzyskanych. Pragniemy problematykę współczesnego życia narodu ożywić ruch badawczy w naszych pracowniach i seminariach.

Mowa rektorska wygłoszona na inauguracji r. akad. 1946/47.

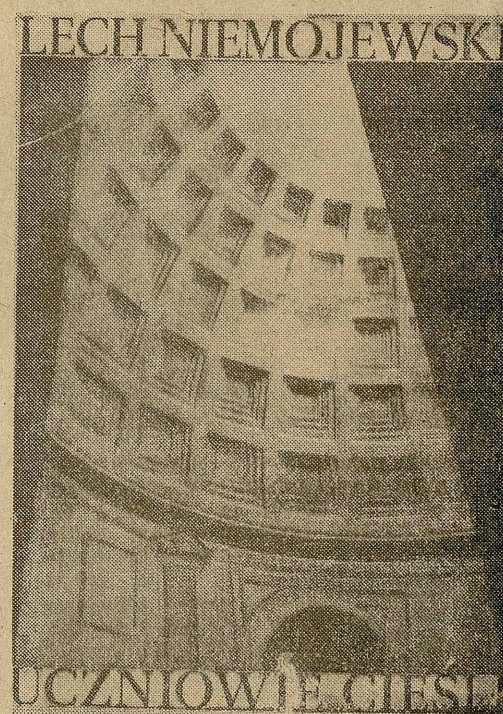
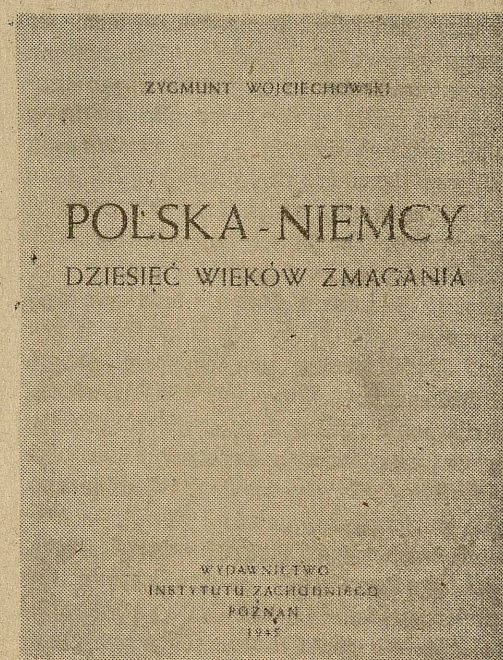
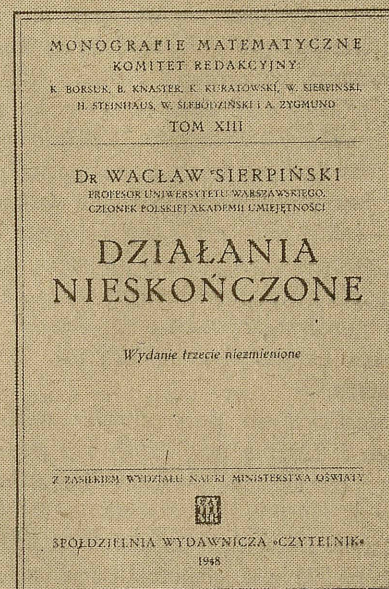
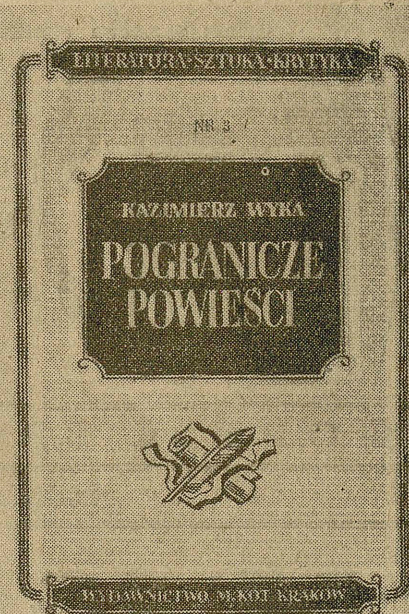
Józef Chałasiński

Profesor socjologii U. Ł.

Dla zrozumienia życia społecznego, zarówno budowy społeczeństwa jak i rozwoju społecznego, jest rzeczą bardzo ważną zdawanie sobie sprawy z tego, że idee społeczne, wytwarzane w życiu społecznym nie są tworem czysto intelektualnym. One mają także charakter moralny, określający działania ludzkie, jako pozytywne lub negatywne z punktu widzenia wymagań społeczeństwa. Idea narodu, ja-

ko całości społeczno moralnej, która w rewolucji francuskiej dawała sankcję moralną dla wolnościowych dążeń mieszczaństwa i innych klas upośledzonych, dla zwycięskiej mieszczańskiej arystokracji staje się następnie sankcją moralną ich walki z klasą robotniczą.

Społeczeństwo i Wychowanie. Instytut Wydawniczy „Nasza Książka” 1948.



STANISŁAW OSSOWSKI

WIEŻ
SPOŁECZNA
I DZIEDZICTWO
KRWI

KSIĄZKA

Ludwik Hirszfeld

Prof. bakteriologii U. Wrocław.

Książka ta była pisana w roku 1939 i 1940 w bardzo ciężkich warunkach, gdy pozbawiony przez okupanta warsztatu pracy byłem oderwany od działalności naukowej i dydaktycznej. Pomocną mi była moja długoletnia wierna współpracowniczka p. Róża Amzelówna. Rozdział XXVIII „O biochemicznych podstawach swoistości” został według Marracka opracowany przez nią. Był to umysł subtelny i krytyczny, miała piękny sposób wykładania i doskonałe pióro. Nie było jej dane dożyć do końca wojny: została zamordowana przez Niemców w roku 1943. Jest to nie tylko moim obowiązkiem, ale i potrzebą serca, by podkreślić w tym miejscu Jej wielki zapal do pracy naukowej i dydaktycznej i oddać hołd zarówno Jej umysłowi, jak i sercu. Część Jej pamięci!

Przez kilka lat byłem zmuszony ukrywać się przed okupantem pod obcym nazwiskiem. Manuskrypt ten przechowywali: prof. Zygmunt Szymanowski, prof. Marcin Kacprzak, prof. Feliks Przesmycki i pani Königowa, u której w czasie o-

kupacji znaleźliśmy schronienie. Manuskrypt musiał być trzykrotnie przepisywany i przenoszony z miejsca na miejsce. Wielkiej tej pracy dokonała pani Izabela Kiełbasińska. Korekty językowe dokonała pani doktorowa Julia Sokołowska. Wszystkim tym wiernym przyjaciółom w chwilach niedoli składam wyrazy podziękowania i wdzięczności.

Wstęp ten pisany jest innym stylem, niż się zazwyczaj pisze podręczniki. W moich wspomnieniach, które zostały ogłoszone w innym miejscu, nazwałem go „Moja pieśń wieczorna”. Pisałem go ukrywając się przed okupantem, w myśli, że nie przeżyję tej wojny i pragnąc pożegnać się z młodzieżą. Los zrządził, że będzie mi dane cieszyć się oddźwiękiem myśli tu wypowiedzianych. Pozostawiam jednak dawny wstęp jako pamiątkę wielkich cierpień, odzwierciedlającą stan ducha badaczy polskich.

Immunologia ogólna. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik” 1948.

Prof. dr Tadeusz Lehr-Solawski
prorektor U. J.

NA KONGRES POKOJU

W niewielkiej pracy o proletariacie wydanej w pierwszych latach XX wieku Sombart opisuje tragiczne położenie niemieckich robotników. Mimo to w obszernej pracy „Bourgeoisie” — z pasją — opisuje wielkość i zasługi kapitalistów, apoteozując imperializm — i kończy: „Co będzie, gdy kiedyś duch kapitalistyczny straci swą dotychczasową energię — nas to nie interesuje. Być może ołbrzym ślepy już — będzie zmuszony odgnać demokratyczną landarę. A być może, będzie to jutrzeńka bogów. Może Ren napowrót odzyska złoto”. A wielki idealista Spranger pisał: „uniwersytet... musi pozostać instytucją selekcyjną, arystokratyczną. Profesor uniwersytetu musi dążyć do góry, rozpowszechnianie wiedzy w szerokich masach społeczeństwa powinien zostawić innym”.

Między niedzą mas pracujących a pozorowaną niezależnością myśli intelektualnej rozpościerała się bariera. Ci, którzy humanistykę zaliczali do dziedziny „nauki o duchu” poradzili między innymi tych, którzy dowodzili, że człowiek jest tylko „zwierzęciem rabunkowym” (Spengler) i budowali fatalistyczne napoty mistyczne teorie o nieuniknionej konieczności wojny dla wojny i mordowania dla mordowania.

Zamknięte w kręgu „czystej” wiedzy uniwersytety uległy łatwo naciskowi „ducha” hitlerowskiego. Prócz niewielkiej garstki elity intelektualnej — znaczna większość uczonych i pisarzy niemieckich pokornie pochyliła głowy przed naporem siły „wyższej”. Naprzód pozwolili się zakazać kłamstwem antysemityzmu, później z ulgą przyjęli sobie mitologię rasy, a w konsekwencji zrezygnowali z wiedzy, kultury i humanizmu. Stanęli pod sztandarem wojny.

Narastaniu kultury wojennej odpowiadał opór kultury pokoju. Gorkij, Rolland, Barbusse, Haldane i wiele innych wybitnych umysłów rozpoczęło walkę o skupienie wszystkich sił antywojennych i antymilitarystycznych.

„Współczesne nam narodowe ugrupowania bankierów i fabrykantów oraz inne typy pasożytów szykują się do nowej walki o władzę nad Europą, o nieograniczoną swobodę grabieży kolonialnej i grabieży ludu pracującego w ogóle — pisał w 1935 roku Gorkij w liście do obradującego w Paryżu Międzynarodowego Kongresu Pisarzy w Obronie Kultury. — Ta walka ma na celu wyniszczenie ludów. Wymaga ona nie tylko całkowitego wyrzeczenia się „fundamentów kultury” i humanizmu mśczeniowskiego. Ta nowa... jątka ludzka organizowana przez faszyzm ocenia ideę humanizmu jako ideę wrogą jej zasadniczemu celom”.

W trzy lata po hekatombie ofiar znów zbiera się Kongres Intelektualistów w Obrońce Pokoju. W innym miejscu, w innych warunkach, w innej sytuacji politycznej — ale z tymi samymi hasłami, które głosił wielki Gorkij.

Zbiera się we Wrocławiu, który jeszcze niedawno był ośrodkiem barbarzyńskiej ekspansji faszyzmu na narody wschodu Europy — z którego Hitler rzucał hasła wyteplenia całej Słowiańszczyzny, — a dziś zamieniony został przez naród polski w ośrodek pokoju i demokratycznej myśli. Będzie obradował w warunkach wielkie-

go wzrostu sił demokracji i pokoju. Gdy oraz szerzej roznosi się krzyk: „Precz z wojną i imperializmem”. Gdy rozszerzyła się niepomniennie granica państw demokratycznych i pokojowych a ucieszone masy ludów kolonialnych i ujarzmionych, w coraz to innym miejscu rozpalają pochodnie walki o wolność i samodzielną. Kiedy w Kongresie Amerykańskim okryta żałobą matka krzyczy, w momencie uchwalania budżetu wojkowego: „Nie oddam wam swego ostatniego syna.”

Jej głos nie dotarł do wnętrza ministerialnych gabinetów.

Ci, którzy dziś przeciwdziałają woli swych narodów i wbrew krzykowi matek — grożą światu bombą atomową, a tych, którzy mają dość odwagi, by głosić prawdę i pokój — wtrącają do więzień. Rozpalają antygenizm narodowy. Głoszą hasła wyższej rasy. Po co?

Faszystowskie metody rozbijania moralnego narodów są wszędzie i zawsze te same.

Znajdują być może „medreów” którzy ich hasła uzasadniają „naukowo”. Tworzą jednak legiony bojowników, którzy mają dość odwagi i jasności umysłu, by stanąć w obronie ucieszonych, okłamanych — i pokój.

Czyż nie dziw, że w trzy lata po zakończeniu wojny najstraszniejszej ze strasznych — na ziemi Oświęcimia, Majdanka i Gross-Rosen — intelektualści i pisarze znów radzą jak zabezpieczyć i wywalczyć pokój.

Wojna nie nauczyła bowiem niczego tych, którzy uważają ją za źródło zysków i dochodu.

Nauczyła zaś dużo, bardzo dużo tych, których pozbawiła mieszkań i rodzin, otoczyła gruzami i zniszczeniem. I bezsprzecznie tych, którzy swoją wiedzę oddali wielkiej sprawie człowieka i wolności.

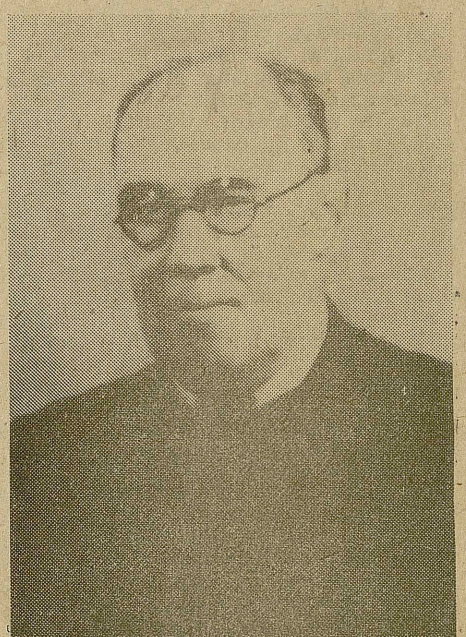
Donośny głos Wrocławskiego Kongresu usłysza już niewątpliwie podlegające wojenni. Być może nie zechcą go zrozumieć. Tym gorzej dla nich. Być może otoczą go mgłą kłamstwa i kłamstwa. Ale kłamstwo, jak bumerang, rani nierzaz oszczercę.

Bez wątpienia jednak głos Wrocławia dotrze do narodów walczących i broniących swego bytu i wolności, i dotrze do tych, którzy wyczekują słowa otuchy i pokrzepienia. Usłyszą go narody, które rozdarły brutalną obręcz kapitalizmu, bądź znajdują się z nim w śmiertelnej walce. Usłyszą go masy. Nie będzie chciała słyszeć garść zakłamańców.

Czyż nauka i myśl nie nabiora przez to większej wzniosłości? Że przestały służyć tylko sobie i tym, którzy je obracali na szkodę ludów. Że przestały być niewolnicami możnych i stanęły pod wielkim sztandarem narodów walczących o wolność i pokój.

A nauka zasilona energią i optymizmem mas ludowych — stanie do walki z barbarzyństwem i ciemnotą imperialistyczną wzmocniona, silniejsza, trwalsza. I być może, wbrew zakusom podlegaczy stanie się jedną z tych barier, które tamują agresję narastającego faszyzmu i których coraz więcej na świecie.

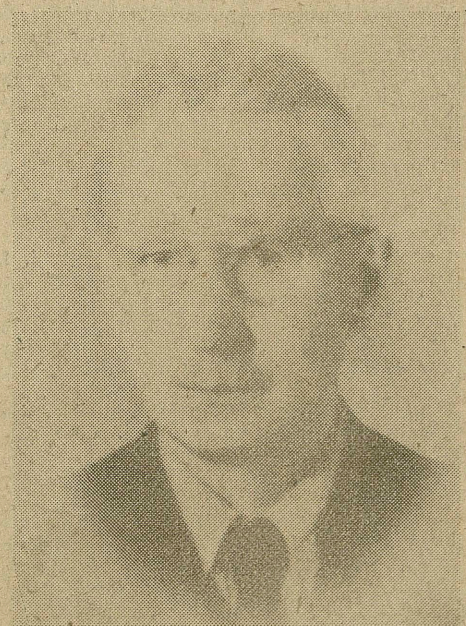
REDAKCJA



Prof. dr Wacław Sierpiński



Prof. dr Rafał Taubenschlag



Prof. dr Wojciech Świątosławski

INSTITUT LITERATURY LUDOWEJ
TOWARZYSTWO NARODOWE WARSZAWSKIE I MIĘDZYNARODOWY INST. LIT. POL. U. W.

JULIAN KRZYŻANOWSKI

POLSKA BAJKA LUDOWA
W
UKŁADZIE SYSTEMATYCZNYM

II. RASH MAGCZNA

II. RASH MAGCZNA



WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

WARSZAWA

Leonard Sobierajski

ZYCIE NAUKOWE WROCŁAWIA

„Niedosć, by myśl szukała urzeczywistnienia, trzeba jeszcze, by rzeczywistość szukała myśli” (Karl Marks).

Nowa rzeczywistość powojennej Polski — ustrojowa, gospodarcza i geopolityczna wymaga właśnie szukania myśli.

Prawidłowo zaplanowany rozwój życia naukowego jest jedną z najwyższych trosk naszego państwa. Chodzi o to, by badania naukowe poszły w kierunku, gwarantującym społeczeństwu w strukturze demokracji ludowej pełne zaspokojenie potrzeb materialnych i duchowych, chodzi o to, by nasza produkcja naukowa mogła służyć i ludzkości. W tak wyznaczonym kierunku badań warunkiem rozstrzygającym jest ich planowość. Ustalmy momenty determinujące podjęcie w tym kierunku akcje. Włodzimierz Sokorski w referacie, wygłoszonym na drugiej ogólnokrajowej konferencji rektorów i profesorów wyższych uczelni mówił: „Pierwszym warunkiem wolności i powie- działym pierwszą jej przesłanką jest poznanie praw przyrody, opanowanie ich i uzyskanie w ten sposób danych dla podjęcia systematycznej działalności w celu maksymalnego wykorzystania wykrytych praw, zgodnych z potrzebami człowieka. Ten proces poznania i wykorzystania praw przyrody może być tylko wynikiem naukowego poznania, a nie bezpodległego zaprzeczania możliwości wykrycia prawdy obiektywnej.”

„Drugim warunkiem wolności i powiedziałbym drugą jej przesłanką jest poznanie praw rozwojowych ekonomiki ludzkich społeczeństw oraz całej jej nadbudowy ustrojowo-ideologicznej, uchwycenie tych praw w ich ruchu, zamieraniu i stawianiu się, na tej drodze podjęcie systematycznej, naukowo sprecyzowanej działalności dla świadomego i planowego przemysłowego zorganizowania społeczeństw ludzkich zgodnie z historycznymi prawami rozwoju. I znowu ten proces może być tylko wynikiem naukowego poznania, a nie filozoficznego czy praktycznego zaprzeczania istniejącej realnej rzeczywistości.”

„Trzecim warunkiem wolności i trzecim warunkiem wszelkiego naukowego badania jest poznanie praw wewnętrznego działania i kojarzenia świadomości tak złożonej istoty, jaką jest istota ludzka, przy tym należy pamiętać, że wolna wola jest tylko zdolnością decyzji zgodnie z poznaniem praw obiektywnych, warunkujących rzeczywistość, a więc naukową sprawdzalność każdej decyzji”.

Z tego sformułowania wynikają postulowane cele działalności badawczej. Zapewnić człowiekowi wolność wobec przyrody poprzez poznanie rządzących nią praw i tym samym wykorzystanie jej sił na dobro człowieka, zapewnić człowiekowi wolność poprzez danie mu wiedzy o prawach rządzących procesem kształtowania się społeczeństw, zapewnić mu wolność uświadamiając go, że jego osobowość jest tworem, zde- terminowanym historycznie i wyznaczonym jego zdolnością do opanowania przyrody z jednej strony, a z drugiej wynikiem dotych- czas kształtujących go struktur społeczno- kulturowych.

Tak pojęta praca naukowa służy człowiekowi, służy kulturze i pokojowi.

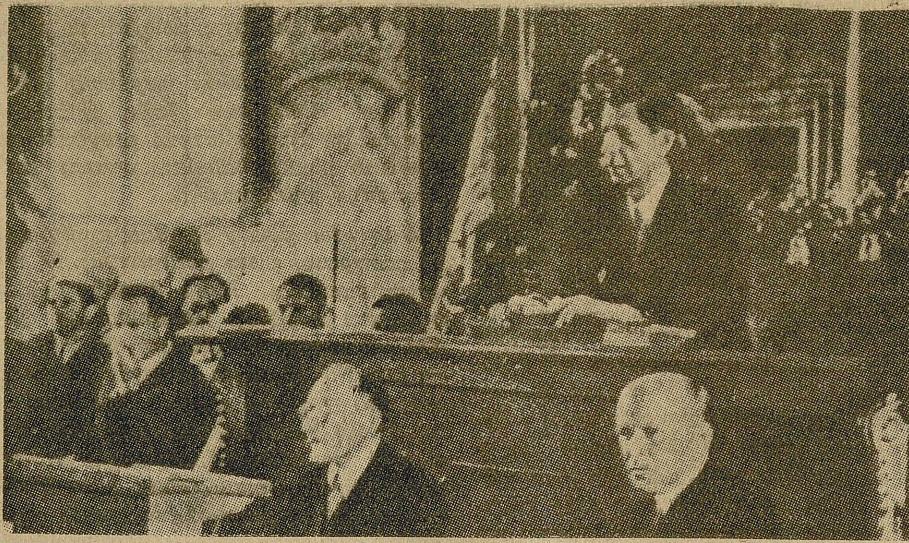
Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju odbywa się w Polsce, odbywa się we Wrocławiu. Miasto to pełne ruin — śladów wojny, a równocześnie wypełnione znakami nowego życia będzie tłem, na którym rozegra się próba rozpatrzenia możliwości harmonijnego współżycia narodów w ramach systemu, gwarantującego poszanowanie własnej wolności, własnej kultury i twórczej pracy dla dobra całej ludzkości.

Z tego bliźszego dla Kongresu wypruje jeden tylko, ale najbardziej ważki wątek — środowisko naukowe Wrocławia. Wystąpi tu problem, na ile ten element tła Kongresu współgra z tym wielkim wydarzeniem, które wszyscy ludzie dobrej woli będą śledzili z najwyższym napięciem.

W przedziwnych warunkach zaczęło się kształtować życie naukowe Wrocławia. Nie będę tu sięgać do tradycji XIX-wiecznych, które mówią jak żywo pulsowała polska myśl naukowa na gruncie wrocławskiego niemieckiego uniwersytetu. Odsyłam czytelnika do pięknego szkicu Tadeusza Mikulskiego: „Towarzystwo literacko-słowińskie we Wrocławiu (1836—1888)” (*). Przedmiotem mojego zainteresowania będzie grupa ludzi, którzy w najtrudniejszych warunkach, bez żadnych warunków naukowych, bez żadnych początkowo urządzeń rzeczowych dźwigali myśl naukową i osiągała dziś wyniki, z którymi śmiało mogą stanąć wobec ludzi nauki, którzy będą obradowali nad obroną pokoju we Wrocławiu.

Słyszysz się dzisiaj utyskiwania, że literatura nie daje pełnego obrazu grozy wojennej, że nie potrafi przedstawić w sposób sugestywny i plastyczny straszliwych konsekwencji tej wojny. Mamy jednak dokumenty, mamy relacje, które nie pretendują do literackości, ale w swoim bezpośrednim oglądzie dają opis pełen żywej i tragicznej prawdy.

W planującym jeszcze Wrocławiu, tuż po kapitulacji Niemiec grupa polskich uczonych z profesorem Stanisławem Kulczyńskim na czele znalazła się w tym mieście dla zabezpieczenia majątku uniwersyteckiego. Oto relacja obecnego rektora uniwersytetu wrocławskiego: „Idziemy dalej. Na miejscu seminarium filologii nowożytnej Instytutu Antropologii i seminariów matematycznych zastajemy szare, dawno wystygłe zgłiszcz. Z wiel-



Przemówienie Rektora U. W. prof. dr S. Kulczyńskiego

kiego czerwonego gmachu fizyki zostały tylko kuliszki wypalonych murów. Jedynie w piwnicach budynku napotykałyśmy na baterie akumulatorów, kilka motorów elektrycznych i trochę narzędzi warsztatowych... W zasypanym korytarzu potykamy się o wystający kawałek metalu. Rozpoznaję w nim stopiony tubus mikroskopu Zeissa. Spod białego i zimnego popiołu wystaje kilkanaście czubków metalowych podobnego rodzaju. Są to ustawione czyjaś dłoń na podłodze precyzyjne mikroskopy — wszystkie w podobnym stanie. Rzucam okiem na ogród. Szklarnie rozbite, pełne wymarznętej i wyschniętej, kompletne roślinności. Podchodzimy do gmachu instytutów botanicznych. Czuję lekki ucisk koło serca, gdyż ma to być mój przyszły warsztat pracy naukowej... Budynek wydaje się cały. Niestety jest to złudzenie. Tył gmachu uderzony bombą i zawalony”.

„Zbliżający się wieczór każe nam wracać do domu. Na kwaterze zastaję grupę moich towarzyszy, którzy powrócili z podobnych wypraw w głąb miasta i występujące sprawozdań. Niestety, nie brzmią one pomyślnie. Pułkownik Ciałowicz raportuje, że wszystkie muzea miejskie leżą w gruzach... Raport z placu Augustów donosi, że wszystkie budynki zakładów etnologii, historii sztuki i archeologii leżą w zgłiszczach. Fundowany przez Rockefellera instytut neurochirurgii zniszczony doszczętnie.”

„Okolo 8-ej rano wpada goniec: „Biblioteka uniwersytecka płonie”. Zabieram pozostałych ludzi i biegiem udajemy się na Kepe Piaskową. Na miejscu stwierdzam, że ogień w parterze biblioteki uniwersyteckiej zgodnie z naszymi przewidywaniami wczorajszymi wygasł niemal zupełnie i od tej strony nie zagraża nie zlożonym po przeciwnej stronie ulicy księgozbiorem. Natomiast budynek Instytutu Wschodniego, sąsiadujący od południa z kościołem św. Anny zastajemy w ogniu. Zajął się od pożaru podłożonego w przylegających doń kamienicach. Wpadamy do nawy kościoła, gdzie leżą książki i zastajemy sytuację groźną. Dach kościoła płonie, a pałac się iskry zaczynają osypywać się przez olbrzymi otwór wybity w sklepieniu. Moi chłopcy rzucają się z determinacją na ratunek. O wodzie nie ma mowy... Próby ratunku ograniczają się do usuwania osiekami spadających palących się kłaczów i odrzucania za burtę książek, które rozpoczęły się tlić. W tym momencie rozlega się ogłuszający huk wybuchu. Przez rozwalone sklepienie kościoła i rozbita bramę wpada chmura czarnego, gorącego i pełnego iskier pyłu. Ogarnia nas ciemność... W tym momencie rozlega się nowy wybuch i huk walących się murów. Idę do Prezydenta (Drobniera) i zastaję go w gronie współpracowników zarządu miejskiego, odbierającego sprawozdanie dzienne. Składam raport, że biblioteka uniwersytecka nie istnieje...”

W takiej sytuacji polscy uczeni przejmowali rowe warsztaty pracy. Upełnione mury budynków, popioły po bibliotekach, zniszczone aparaty naukowe. Ostała się Politechnika. Zabezpieczył ją oficer radziecki Borys Nikolaiew Orłow i przekazał inż. chemikowi Dionizemu Smoleńskiemu, który mi oświadczył, że w Politechnice nie zabrakło wówczas ani jednego gwoźdź. Borys Nikolaiew Orłow był inżynierem i z miłością strzegł dobra naukowego.

Do pierwszej grupy profesorów w tych dniach ognia, grozy i walących się murów dołączyli się Polacy z wrocławskiego obozu jeńców. Spośród nich profesor Marczewski z warszawskiego uniwersytetu — matematyk, uratował wszystkie prywatne księgozbiory profesorów niemieckich wydziału matematycznego, sam wynosząc z płonących i rabowanych domów cenne dzieła naukowe. Do tego właśnie Wrocławia, który dymi jeszcze przez cztery tygodnie, z każdym dniem napływały coraz nowe siły.

Ściągają profesorowie różnych specjalności: geolodzy, geografowie, historycy, prawnicy. Pierwsza grupa z pamiętnych dni liczyła 26 osób, w tym kilku profesorów, reszta to asystenci i pięciu studentów. Zadaniem ich było zabezpieczyć majątek uniwersytecki. Proste i niewinne dziś zdanie: „zabezpieczyć majątek uniwersytecki”. Przyszłowiowa jest nieporadność uczonych. Casus Wrocławia zadłemu kłam. Profesorowie, asystenci i studenci z bronią w ręku zajmowali obiekty naukowe. Wśród ognia i walących się gruzów ratowali sprzęt naukowy i książki. Znaleźli się pierwsi w mieście wspólni z Prezydentem miasta Drobnierem i garstką

urzędników administracji. Profesor Kulczyński zorganizował własną „armię” z 300 uzbrojonych studentów. Zabawny był moment, gdy komendant wojskowy, mający chronić miasto zwrócił się wówczas w pewnej chwili do Rektora Kulczyńskiego z prośbą o pomoc wojskową. Atmosfera, w jakiej pracowała ta pierwsza grupa, jej sprężystość i zdolność do opanowywania najtrudniejszych sytuacji nadały ton coraz bardziej powiększającej się grupie projektowanego Uniwersytetu Wrocławskiego.

Wyszeli odpowiedni dekret Ministra Oświaty o otwarciu Wyższej Uczelni we Wrocławiu. Trzeba było stawiać budynki, zdobywać urządzenia naukowe, gromadzić personel. To były letnie miesiące 1945 roku. Na jesieni ruszył Uniwersytet i Politechnika jedenastoma wydziałami. Grupa profesorów wrocławskich to bardzo specyficzna grupa. Związała ją silnie całkiem nowa sytuacja, zwały silnie zadania, jakie przed nią stawała rzeczywistość. Trzon tej grupy stanowili profesorowie Uniwersytetu i Politechniki Lwowskiej. Dołączyli do niej wolontariusze z Warszawy, Krakowa i Wilna. Atmosferę, jaką panowała w środowisku uczonych wrocławskich najlepiej charakteryzują przemówienia rektorskie. Jest w nich coś z rozkazów dziennych. Bo i była to walka. Ambicją grupy było stworzenie silnego ośrodka naukowego o podwójnych celach: Wydział Humanistyczny stanął wobec zadania skontrolowania i obalenia zafałszowanych wyników nauki niemieckiej w sprawie polskości Górnego, Opolskiego i Dolnego Śląska; specjalistami od nauk ścisłych: geolodzy, geografowie, przyrodnicy, fizycy, chemicy, lekarze stanęli wobec konieczności opanowania swojej wiedzy nowego terenu, pełnego jego zbadania i przekazania swojej wiedzy Państwu. Wrocławski ośrodek naukowy charakteryzowała i charakteryzuje nadal jedna cecha — ściśle związane z potrzebami życia. Znaleźli się tu ludzie, którzy właśnie ten typ badań naukowych uprawiali od dawna. Przykładem może tu być profesor dr Hugo Steinhaus, stosujący swoją wiedzę matematyczną do potrzeb życia praktycznego.

Mój opis dzisiejszego Wrocławia naukowego będzie z konieczności fragmentaryczny. Wybiore tylko kilka elementów dla jego ilustracji. Interesuje mnie kształtowanie się życia naukowego Wrocławia, interesują mnie determinanty tego życia. Gdy będę wspominał o wydziałach Uniwersytetu czy Politechniki to tylko jako o narzędziu pomocniczym, jako o bazie, na której może dokonywać się praca badawcza. Nie będę mówił o uczelni jako miejscu kształcenia dydaktycznego bo to już jest inny problem. Zajmę się tym, co stanowi zasadniczą treść, która równocześnie przekazywana jest w tym kształceniu wraz z jej duchem i metodą.

Do najmocniejszych wydziałów Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej należą Wydział Matematyki, Chemii i Fizyki, Wydział Przyrodniczy i Wydział Nauk Lekarskich. Jakże mają one osiągnięcia? Przyjrzyjmy się warsztatowi naukowemu prof. Steinhaus. Powiedziałem już, że w jego pracach wiedza matematyczna użytkuje się jak najściślej, służy potrzebom życia społecznego. Prof. Steinhaus znany jako twórca „introwizora”. O wartości tego aparatu dzisiaj już wszyscy wiedzą. Czytelnik dowie się o nim z fragmentu opisu tego wynalazku, który sam prof. Steinhaus podaje w bieżącym numerze „Wiś”.

Matematyka stosowana jest ideą uczono- Pracując on dzisiaj nad całym szeregiem zagadnień, których rozwiązanie oddaje duże usługi właśnie praktycznemu życiu. Można tu wymienić kilka spraw, które pokażą nam czym może być wiedza ścisła w życiu praktycznym. Profesor pracuje nad zagadnieniem rachunku prawdopodobieństwa. Istnieje taki problem Nasz przemysł wysyła np. wyprodukowane u nas gwoździe za granicę. Chodzi o to, aby mieć pewność, czy transport odpowiada określonej zamówieniu, czy w wagonie gwoździ nie znajduje się ilość egzemplarzy złych taka, która by dyskwalifikowała eksportowany towar. Ścisłe wyliczenie matematyczne oparte na rachunku prawdopodobieństwa określa nam w sposób najdokładniejszy, czy twarz odpowiada określonym warunkom. Prof. Steinhaus ma na swoim warsztacie cały szereg tego typu zagadnień. Wymieńmy ich kilka: zagadnienie

stawek akordowych i norm pracy, zagadnienie taryfy elektryczności, indeks urzędowania terenu (pozwala to na szybkie wykreślenie mapy danej okolicy, co orientuje, gdzie warto np. pojechać na wycieczkę). Prof. Steinhaus jak najściślej jako matematyk współpracuje z lekarzami; bada możliwości prognozy przy leczeniu penicyliną, bada przy pomocy narzędzi wiedzy matematycznej problem granulocytozy ciałek krwi. Istotą wrocławskiego środowiska naukowego jest koordynacja pracy, oddzielanie się i służenie własnymi wynikami, poszczególna specjalnością. Medycy współpracują tu z matematykami, z elektrykami, prawnicy służą specjalistom od planowania przestrzennego, inżynierom i architektom. Ta współpraca znajduje swoje formy w instytutach. Praca na gruncie instytutu daje efekt ścisłego powiązania wiedzy teoretycznej z wiedzą praktyczną. Najlepszą tego ilustracją jest jednostka organizacyjna nie tylko w ramach administracji, ale właśnie przez typ uzupełniających się badań — Uniwersytetu i Politechniki. Sprawa instytutów w tych dwóch powiązanych uczelniach jest rozwiązana i ze względu na warsztat pracy naukowej najbardziej ekonomicznie. Wspólne biblioteki, korzystanie z czasopism naukowych, korzystanie z narzędzi i aparatów. Dochodzi do tego ciągła i wzajemna kontrola wyników badań naukowych. Teoretycy mogą sprawdzać swoje wyniki w działalności praktyków Politechniki Wrocławskiej.

Ciekawe prace dokonują się również na Wydziale Nauk Lekarskich. Są tu tacy uczeni: prof. dr Hirschfeld z żoną, prof. dr Kowarski z żoną, prof. dr Szczeklik i prof. dr Baranowski. Hirschfeldowie pracują nad zagadnieniem „pośrednich postaci grup krwi i ich dziedziczenia”. Kowarscy opracowują monografię o elektrokardiografii, problemem leczenia penicyliną zajmuje się dr Szczeklik.

Wydział Przyrodniczy reprezentują nazwiska: prof. dr Czyżewski, prof. dr Stanisław Kulczyński, prof. dr Bolesław Olszewicz i cały szereg inżynierów. Niesposób by w ramach szupłego artykułu dać jakieś pełne informacje o całym środowisku. Wyrwamy tylko fragmenty, z krzywdą dla interesujących badań Wydziału Humanistycznego, Prawno-administracyjnego, Rolniczego i innych, z krzywdą dla wydziału Politechniki, która swoimi wynikami pracy służy instytucjom państwowym: przemysłowi, rolnictwu, administracji.

Praca naukowa uczonych wrocławskich znajduje swój wyraz w formach instytucyjnych. Są nimi Wrocławskie Towarzystwo Naukowe i kilkanaście oddziałów towarzystw naukowych ogólnopolskich. Uczeń odbywają regularne zebrania, na których są odczytywane rozprawy i komunikowane wyniki ostatnich badań. Indeks referatów i publikowanych rozpraw wskazuje nam jak szeroka jest skala zainteresowań członków Towarzystwa. Instytucja ma do dyspozycji drukarnię naukową. Zostało tu wydane około 30 prac wrocławskich uczonych. Podajemy kilka: Steinhaus Hugo: „O zagadnieniu taryfy elektrycznej”, Kowarscy Hugo i Zofia, „Podstawy elektrokardiografii ogólnej” (w przg.), Malczyński Karol: „W sprawie autyczności bulii gnieźnieńskiej z r. 1136”, Mikulski Tadeusz, „Nad tekstami Książnika”, Strzelecki Ladisław, „De Ateio Capitano nuptialium caerimoniarum, interprete”, Klimaszewski Miecz., „Polskie Karpaty Zachodnie w okresie dyluwialnym”, Rospond Stanisław, „Z badań nad przeszłością dialektu śląskiego” — „Der hoch — und plattpolnische Reisegefahrte”, Krzyżanowski Juliusz, „Shakespearean Modifications — Methodical Proteomena”, Morgentaler Jan „Recherches sur les étoiles variables”, Olszewicz Bolesław, „Polska a odkrycie Ameryki” (w przg.).

Towarzystwo rozporządza kilkoma pierwszymi czasopismami naukowymi. Matematycy wydają „Colloquium Mathematicum”, „Studia Mathematica”, przyrodnicy „Kosmos”, filolodzy „Eos”, historycy „Sobótka”, historycy literatury polskiej „Zeszyty wrocławskie”. Druk publikacji naukowych nie jest rzeczą łatwą. Sekretarz Generalny Towarzystwa prof. dr Olszewicz mówił mi, jaką Towarzystwo zdobyło drukarnię. Była to drukarnia niemiecka do produkowania afiszów.

Czy praca Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego znajduje właściwe zrozumienie w oczach czynników rządowych? Sekretarz Generalny Towarzystwa chce zapewnić podstawy materialne instytucji udaje się do Warszawy do Premiera Cyrankiewicza. Normalnie petent w takich sytuacjach przygotowuje sobie małe exposé: „o konieczności, o potrzebie, że należy...”. Gdy podobne przemówienie zaczął wygłaszać prof. Olszewicz, Premier Cyrankiewicz przerwał mu w pół zdania, mówiąc, że to wszystko jest bardzo jasne i zrozumiałe. Zapytał, ile?

Towarzystwo na urządzenie drukarni naukowej otrzymało sumę 12.000.000 zł i auto na dodatek.

Komu służy wynalazek prof. Hugo Steinhaus, komu służą badania Hirschfeldów i Kowarskich, komu służą studia geograficzne prof. Czyżewskiego i komu prace filologiczne Jana Kowalskiego — to pytanie można rzucić na Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju. Wydaje nam się, że akcenty Kongresu będą się pokrywały z akcentami, jakie charakteryzują prace polskich uczonych środowiska wrocławskiego

*) Oblicze Ziemi Odzyskanych. Dolny Śląsk t. II str. 707. Książnica-Atlas, 1948.

Kazimierz Borzęcki

Tradycje młodzieży niemieckiej

NA ŁAMACH „ODRY” ukazał się ostatnio interesujący artykuł p. Emila Kurońskiego pt. „Wizerunki megalomanów” (mowa o Fryderyku zwanym „Wielkim”, Bismarku i Hitlerze).

Portrety zwłaszcza takich pomnikowych osobistości są opracowane w grube, złoczone ramy. Ramami takimi dla portretu Bismarka jest wieniec wiernych pretorianów, którymi byli w jego epoce junkrowie pruscy. Jedno z ich gniazd, bodaj największe, pragniemy poniżej chociaż z grubsza scharakteryzować.

Zupełnie przypadkowo wpadła nam w ręce całkiem nieciekawa napozór niemiecka książka. Nosi ona tytuł „Biographisches Corpsalbum der Borussia zu Bonn — 1821—1929” — napisana w 1929 r. z polecenia władz owej korporacji studentów pruskich przez G. G. Winkela i wydana tylko dla dawnych członków korporacji, ich rodzin, przyjaciół i ku zbudowaniu innych bratnich organizacji. Przeglądając książkę, przypatrywaliśmy się z początku tylko fotografiom całych pokoleń niemieckich, obserwowaliśmy powolną zmianę kroju ich ubrań, metamorfozy krawatów, uczesania, dystynkcji na mundurach. Skonstatowaliśmy, że mimo zmian zewnętrznych, mimo z roku na rok wzrastającej dbałości o strój — miny członków powtarzają się w kilkunastu typowych odmianach. Przeważnie pewne siebie, często butne, rzadziej sentymentalne, nieraz typowo słowiańskie, co zresztą nie jest dziwne, bo to przecież nasi najbliżsi sąsiedzi ze Śląska, Prus Wschodnich, Pomorza, zatem żyjący w podobnych warunkach klimatycznych co i my. Typów wybitnie nordyckich stosunkowo niewiele. Zastanowiła nas nazwa tej organizacji studenckiej „Borussia”, co znaczy Prusy. Zatem wszyscy ci młodzi ludzie to Prusacy na przestrzeni 107 lat. Gdyśmy przeglądali ich nazwiska, stwierdziliśmy, że to — książęta, hrabiowie, freiherry, tj. baronowie i stara szlachta rodowa, a wreszcie trochę bogatych mieszczan. Znalazłszy jeszcze w tej liczbie cesarza Wilhelma II, jego kilku synów oraz syna i bratanka Bismarka, nabraliśmy ciekawości do książki i przestudiowaliśmy ją gruntownie. Książka zawiera krótkie życiorysy wszystkich członków korporacji akademickiej „Borussia” w nadreńskim mieście Bonn. Życiorysy tych ludzi są doskonałymi ilustracjami do dzieł ich ojczyzny, oczywiście gdy mowa tylko o przedstawicielach klas posiadających, które przez całe trzy ćwierci XIX wieku miały w Niemczech najwięcej do powiedzenia.

A zaczęło się nanóż niewinnie. Po zakończeniu wojen napoleońskich i po Kongresie Wiedeńskim uniwersytety niemieckie, podówczas zupełnie autonomiczne, były widownią gorącej propagandy wolnościowej. Młodzież jednoczyła się początkowo w związkach gimnastycznych „Turnvereine”. W 1815 r. 11 studentów uniwersytetu jenańskiego założyło stowarzyszenie pn. „Allgemeine Deutsche Burschenschaft”, głoszące hasła wolności i honoru. Związek ten opowiadał szybko inne „uniwersyteckie protestacje”. Zewnętrzna działalność tych organizacji polegała m.in. na urządzaniu manifestacji, podczas których palono pisma reakcyjnych pisarzy, święcono 300 rocznicę wystąpienia Lutera itp. Manifestacje studenckie nie podobały się głośnemu publicyście niemieckiemu, hr. Kotzebue, który był jednocześnie zaufanym cara rosyjskiego. Ujawniono, że przysłał on carowi tajne raporty o nastrojach w Niemczech. Student Sand zaszył się do go za to w 1815 r. Skorzystał z tego austriacki minister Metternich i na konferencji przedstawicieli państw niemieckich przeprowadził rozporządzenie o rozwiązaniu stowarzyszeń studenckich i skasowaniu autonomii uniwersytetów. Wówczas korporacje akademickie zeszyły do podziemia. W tym czasie student wydziału prawnego uniwersytetu w Bonn, Ferdinand Pappritz, założył korporację „Borussia”. W ciągu pierwszych 20 lat przez związek ten przesunęło się towarzystwo mieszane, tytuł szlachecki, aczkolwiek pożądanym, nie był koniecznym warunkiem przyjęcia w poczet członków, wśród których znaleźliśmy również 3 Żydów, synów bankierów i wielkich kupców. Korporacja wiodła przez kilka lat życie podziemne. Członkowie posługiwali się pseudonimami i listę Borussów z tych lat mamy zestawioną na podstawie pamiętników wybitniejszych członków. W latach późniejszych występowali już jawnie, a od 1832 r. zaczęli nosić białe kepi; w późniejszych latach przywdziewali na uroczystości korporacyjne mundury z węgierskimi szamerowaniami. Korporacja była terenem gdzie uczyli się pięć, pojedynkować i panować, maltretując nowicjuszy, zwanych fuksami. Poza tym korporacja była towarzystwem wzajemnej adoracji. Chodzono wspólnie na bale, zapraszano kolegów do domów rodzicielskich, a często takie wizyty kończyły się zaręczynami z siostrą kolegi, o ile była to panna posażna. Rodzice bardzo przychylnie patrzyli na to, że synowie obracają się w arystokratycznym towarzystwie i są na „ty” z książętami, hrabiami i baronami. A przy tym ta wypróbowana linia ideologiczna: odwieczny nacjonalizm, kult feudalizmu, mundur, szpady, piwa i pieśni niemieckiej. „Borussia” w Bonn podtrzymywała przyjazne stosunki z dwiema innymi tamtejszymi korporacjami akademickimi oraz z gromem młodych oficerów stacjonującego w mieście pułku królewskich huzarów. W takim środowisku kształtowały się dusze przyszłych luminarzy prusactwa, przyszłych junkrów, tj.

członków reakcyjnej partii szlacheckiej. Mówimy z całą świadomością o członkach „Borussii”, jako o junkrach, gdyż jak obliczyliśmy — na listę 1037 studentów, którzy w ciągu 107 lat przeszuli się przez tę korporację, składają się następujące pozycje: 1 cesarz, 4 cesarskich synów, 58 książąt, 207 hrabiów, 174 baronów i freiherrów, 453 szlachty i zaledwie 140 synów bogatych mieszczan i obywateli, nie posiadających tytułu „von”. Tytuł rodowy nie mówi jednak wszystkiego. Wystarczy przypatrzeć się czym się zajmowali ojcowie tych korporantów. Stwierdziliśmy, że jeden był cesarzem, 4 — regentami księstw, 477 — obszarnikami, 1 — magnatem węglowym, 31 — generałami, 24 — pułkownikami, 59 — oficerami sztabowymi, 98 — wyższymi urzędnikami, 14 — prezydentami regencji, 44 — landratami, tj. starostami powiatowymi, 23 — dyplomatai, 21 — sędziami, 12 — ministrami lub wiceministrami, 31 — dygnitarzami dworskimi, 12 — lekarzami, 10 — pastorem, 34 — wielkimi kupcami, 2 — kapitalistami, 10 — przemysłowcami, 5 — bankierami, 4 — leśnikami, 2 — profesorami uniwersyteckimi, 3 — dyrektorami i profesorami gimnazjów, 3 — artystami plastycznymi, 1 — artystą operowym, 1 — dyrektorem teatru, 2 — adwokatami, 4 pracowało w wolnych zawodach, 1 był właścicielem apteki, 1 — literatem, 2 — urzędnikami prywatnymi. Czym się zajmowało 219 pozostałych — nie udało się ustalić.

Paniczykowie owi po ukończeniu gimnazjum przyjeżdżali na wyższe studia do uniwersytetu w Bonn i zapisywali się przeważnie na prawo. Na 1037 członków korporacji studiowało prawo 803, gospodarstwo wiejskie 74, leśnictwo 11, medycynę 13, teologię 15, filozofię 10, nauki matematyczno-przyrodnicze 5, historię 4, ekonomię 3, filologię 4, oraz po jednym: muzykę, orientalistykę, chemię, zoologię i geografę. Z tej liczby w ciągu 107 lat zaledwie 85 przed zaczęciem studiów uniwersyteckich przeszło kurs szkoły podchorążych. Ze spisów wynika, że na 1037

gardzacy niebezpieczeństwami i po stoicku znoszący ból. Męstwa uczyli się w korporacjach, gdzie pilnie przerabiano fechtunek i wymagano odbycia kilku obowiązkowych pojedynków, aby później zadać — satysfakcji honorowej za każdą choćby urojoną zniewagę. Ideałem takiej „honorowości” był przez długie lata czyn hr. C., który w 1828 roku na balu maskowym wdał się w awanturę z innym korporantem. Obecni na balu koledzy korporanci odrazu zainicjowali pojedynek. W pierwszej rundzie hr. C. został ranny w pierś, w drugiej — w lewy policzek. Sekundanci chcieli przerwać pojedynek, lecz zawzięty hr. C. żądał dalszej walki. Ciężko poraniony dopiero w siódmej rundzie zwałił się z nóg. Ryccerscy koledzy, z obawy przed odpowiedzialnością, nie wezwali lekarza, lecz zanieśli rannego do sąsiedniego domu, później odwieźli go do mieszkania, gdzie męczył się osiem dni. Gdy umarł — władze uniwersyteckie wszczęły dochodzenie i sąd skazał niefortunnych sekundantów na 3 miesiące twierdzy. Korporacja urządziła hr. C. ceremonialny pogrzeb. Autor bardziej rozwodzi się nad ceremoniałem pogrzebowym niż nad głupotą sekundantów.

Herosem korporacji „Borussia” był pewien książę do domu panującego, który w 1898 r. pojedynkował się z członkiem innej korporacji. W ciągu 8 minut zadał przeciwnikowi trzy poważne rany i 26 lżejszych cięć, a sam otrzymał tylko jedną ranę (w późniejszych latach został generałem, a w 1918 r. był jednym z pretendentów do tronu niemieckiego).

Pewien Freiherr z Królewca służył był z tego, że jako korporant sekundował w 150 menzurach, tj. w wewnętrzno-korporacyjnych obowiązkowych pojedynkach.

Członkowie „Borussii” pojedynkowali się przy każdej okazji. Obliczyliśmy, że w ciągu 107 lat ośmiu z nich padło w pojedynkach. Ilu ludzi zginęło z ich rąk — nie piszą.

Takimi zasadami opatrzonej na drogę życia młody junkier po ukończeniu uniwersy-

kowo uzdolnionego człowieka na poziomą ścieżkę. Ulubioną przez junkrów naukowców dziedziną wiedzy była historia sztuki, numizmatyka i teoria muzyki, a tylko trzech byli podróżnikami — naukowcami.

Powszechnie mniema się, że szlachta niemiecka, mająca kult dla munduru i szabli, powinna była dokazywać cudów bohaterstwa w bitwach. Tymczasem ze szczupłego grona korporantów „Borussii”, którzy zawodowo poświęcili się służbie wojskowej, niewiele wyrosło bohaterów. Najwybitniejszy wojak z ich grona to Freiherr von Loe, który od skromnego porucznika doszedł do stopnia generała broni i naczelnego wodza wojsk Marchii. Brał udział we wszystkich wojnach, jakie od 1848 do 1871 prowadziły Niemcy, a prócz tego walczył jako ochotnik w wojnie kaukaskiej w 1862 r. i w wojnie algijskiej w 1864 r. Za te zasługi otrzymał doktorat honorowy wydz. prawnego uniwersytetu w Bonn i tytuł honorowego obywatela tego miasta. Jego udział w walkach o cudzą sprawę przypomina nieco akcję słynnej niemieckiej eskadry lotniczej „Condor” w Hiszpanii, której celem było eksperymentowanie nowych metod walki.

Najbardziej znów głośnym z grona wojskowych ex-Borussów był cesarz Wilhelm II, ale niepodobna w szczupłych ramach tego artykułu rozwodzić się o jego zwycięznych w czasie pierwszej wojny światowej.

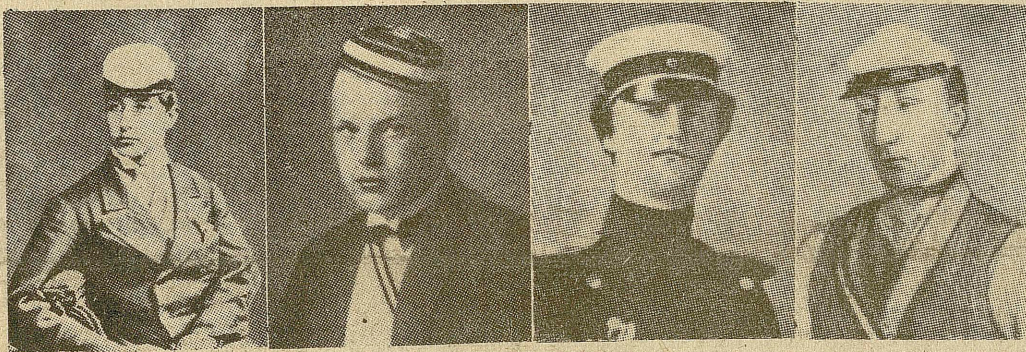
Z liczby 22 generałów, którzy wyszli z szeregów „Borussii”, tylko 8 brało udział w wojnach niemieckich między 1848 a 1870/71 r. i tylko jeden był ranny w czasie wojny w 1866 r. O tym, czy młodzi generałowie brali udział w I wojnie światowej — kronikarz „Borussii” nie wspomina. Z liczby 15 pułkowników jeden brał udział w wojnie w 1848 r. i 1870/71, a 1 tylko w 1870/71. Obliczyliśmy następnie, że na 44 oficerów zawodowych (od majora w dół) jeden brał udział w wojnie 1848 r., jeden w 1866 r., pięciu w obu wojnach 1866 i 1870, siedmiu tylko w wojnie 1870 i tylko jeden z ich grona poległ. Służba wojskowa pozostałych przypada na lata międzywojenne lub na okres wojny 1914—1918 r. W 1870/71 r. tylko jeden b. korporant „Borussii” poległ na froncie, a w czasie I wojny światowej poległ tylko jeden oficer zawodowy z ich grona, a jeden był ranny. Jak widać z tego zestawienia — oficerowie zawodowi oszczędzali się w czasie wojny albo umieli unikać niebezpieczeństwa. Podobnie ostrożnie postępowali b. korporanci „Borussii”, którzy zostali zmobilizowani do wojska niemieckiego z rezerwy. W 1846 r. zmobilizowano z ich grona jednego rezerwistę, w 1849 r. na kampanię badeńska — 4, na wojnę przeciw Danii — 5, na wojnę przeciw Austrii w 1866 r. — 46, z których jeden poległ, a tylko jeden został odznaczony Krzyżem Walecznych.

W wojnie z r. 1870/71, która bardzo odpowiadała ideologii „Borussii”, bo dążyła do poświecenia Francji i do scalenia Niemiec w jedno państwo, będąc swego rodzaju świętą wojną niemiecką, b. korporanci „Borussii” wzięli udział gromadnie: 59 rezerwistów zostało powołanych pod broń. Poległo z nich tylko dwóch, a jeden został ranny. Czterech zostało okupacyjnymi prefektami zdobytych miast francuskich, jeden zaś komendantem etapów. Dziesięciu bardziej subtelnych zgłosiło się do służby w charakterze ryccerzy św. Jana (kawalerów Maltańskich) czyli do służby sanitarnej na tyłach. Żaden z nich oczywiście nie poległ, ani nie był ranny, lecz wspólnie z całym narodem niemieckim osiągnęli cel, do którego dążyli — zjednoczenie wszystkich księstw niemieckich pod hegemonią pruska.

Dziwnie wygląda pamiętnik „Borussii” jeśli mowa o pierwszej wojnie światowej. O ile wszyscy uczestnicy wojny w 1870/71 r. zostali odnotowani skrupulatnie, o tyle śladem I wojny światowej są natłoki o poległych i rannych. Wiadomo, że 27 z nich poległo na froncie, 7 zmarło wskutek ran lub chorób nabytych na froncie (wśród nich jeden książę-generał) a jeden był tylko ranny. Bez wątpienia na I wojnę światową powołano do wojska wielu Borussów, ale dla jakichś względów nie wspominają o tym w swych pamiętnikach.

Nie w przewagach wojennych zatem szukali Borussowie sławy. Instrumentem do prowadzenia wojny był żołnierz ślepo posłuszny oficerowi, m.in. taki żołnierz, któremu w razie potrzeby grało się pod Sedanem „Jeszcze Polska nie zginęła”. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak zanotować, że jeden z zawodowych oficerów b. Borussów utonął, ratując żołnierza.

„Borussia” wydała ze swych szeregów bardzo wielu polityków, którzy w mniejszym lub większym stopniu byli narzędziem w ręku Bismarka i jego pomocników, chociaż takie samo ustosunkowanie się do rzeczywistości spotykamy u Borussów znacznie wcześniej. Jeden z nich, sędzia sądu kryminalnego, urodzony w 1804 r., jest chlubnie zanotowany w pamiętnikach korporacji, jako że nieustraszenie walczył z przwódcami rewolucji w 1848 r., inny znów, adwokat, był przez parę lat w Stanach Zjednoczonych A. P., oddając się badaniom naukowym. Owocem tych badań było studium o systemie więziennictwa w stanie Pensylwania. Dwaj znów w okresie wolnościowym w 1848 r. byli posłami do parlamentu frankfurckiego. Można przypuszczać po czyżej stronie stanęli. Inny — radca regencji w Poznaniu tak 1848 r. potrafił sobie zaskarbić sympatię Bismarka i tak



Cesarz

Obszarznik

General

Starosta

tych studentów korporantów 233 uzyskało pełne dyplomy z ukończenia studiów. Większość prawników poprzestawała na tzw. egzaminie referendarskim, który odpowiada naszemu egzaminowi dla urzędników I kategorii. My w Polsce przed wojną ubolewaliśmy, że z powodu złych warunków materialnych blisko połowa studentów naszych wyższych uczelni porzucała studia po roku lub 2 latach. Tymczasem wśród Borussii nie było dosłownie ani jednego niezamożnego. Wnioski nasuwają się same przez się: chodziło wyraźnie o uzyskanie prawa wstępu do administracji. I jeszcze jedno interesujące spostrzeżenie: student polski jest zazwyczaj wierny swemu uniwersytetowi i tylko w niezmiernie rzadkich wypadkach przerzuca się w toku studiów na inną uczelnię i to raczej z powodu braku miejsc na wydziale, na czele z powodu braku pieniędzy. Członkowie „Borussii” pragnęliby studiować. Członkowie „Borussii” oraz bardzo wielu zamożnych studentów niemieckich z przenoszenia się z jednego uniwersytetu na drugi robiło sobie po prostu sport. Na 1037 owych korporantów położyła (513) studiowała tylko na jednym uniwersytecie, 325 na dwóch, 163 — na trzech, 28 — na czterech, a 8 — na pięciu. Prof. Hirschfeld w swej „Historii jednego życia” stwierdza: „że był to jeden z najlepszych zwyczajów życia uniwersyteckiego w Niemczech, że studenci mogli się przemieszczać z uniwersytetu na uniwersytet. Poznawali w ten sposób życie i różne szkoły”. Jest to zupełnie oczywiście, jeśli mowa o młodzieży pracującej i żadnej wiedzy. Członkowie Borussii, jak zresztą większość Niemców, uwielbiają życie w gromadzie. Przenosząc się na uniwersytet w innym mieście, zapisywali się niezwłocznie do takich, oczywiście arystokratycznych korporacji jak: „Saksoborussia”, „Saksonia”, „Neoborussia”, „Wandalia”, „Cunonia”, „Marchia”, „Silesia”, „Bremensia”, „Brunsviga”, „Hassia”, „Holfartia”, „Lunaburgia”, „Turynia”, „Frankonia”, „Guestphalia”, „Suevia”, „Masovia”, „Scotia”, „Misnia”, „Hanse”, „Vandalia”, „Hubertia” i „Obotritia”. Wymienione korporacje musiały posiadać zblizowaną ideologię, bo jakże by mogli inaczej czuć się w nich dobrze młody arystokrata niemiecki. Wszystkie holdowały idei wielkich, zjednoczonych Niemiec, rządzonych przez cesarza, kamarylę dworską, junkrów i warden burżuazjny. Przywódca junkrów, Otto Bismarck, powiedział o sobie tak: „Jestem junkrem i nie mogę być demokratą. Urodziłem się arystokratą i zostałem wychowany na arystokratę”. W ślad za wodzem myśleli tak samo o sobie wszyscy junkrzy, którzy chcieli być nie tył o wytwornymi arystokratami, ale również nieustraszonymi ludźmi,

tetu lub po porzuceniu go wkraczał na szerszą arenę. Zanołowaliśmy, że wielu synów obszarników najpierw wstępowało na parę lat do urzędów, i jeśli nie mieli tam widoków na zrobienie kariery, wracali na wieś do ojca, aby po jego śmierci lub wycofaniu się z interesów stać się panem na włościach rodzicielskich lub „fideikomiserem”, czyli zarządcą dóbr rodzinnych. Na 1037 członków „Borussii” — jeden został cesarzem, 361 obszarnikami, 144 przeważnie wyższymi urzędnikami, 16 ministrami lub podsekretarzami stanu, 15 prezydentami regencji, 88 landratami, tj. starostami powiatowymi, 46 sędziami przeważnie wyższych instancji, 56 dyplomatai, 55 posłami do sejmów krajowych lub Reichstagu, 22 generałami, 15 pułkownikami, 44 oficerami zawodowymi, 11 adwokatami, 10 lekarzami, 6 notariuszami, 1 prokuratorem, 5 wyższymi urzędnikami policyjnymi, 4 leśnikami, 11 pastorem, 8 profesorami wyższych uczelni, 3 profesorami gimnazjalnymi, 9 poważnymi urzędnikami prywatnymi, 3 literatami, 1 dziennikarzem, 2 magnatami węglowymi, 2 przemysłowcami, 3 kapitalistami, 2 artystami malarzami, 1 kupcem, 1 bankowcem, a o reszcie tj. o 91 nie zdołaliśmy nic konkretnego ustalić. Z podanych liczb widać jakie zawody były najbardziej umiłowane przez Niemców. Kilku b. korporantów „Borussii” wyemigrowało do Ameryki — pewno palili się im grunt pod nogami albo dusili się w atmosferze swego środowiska. Niektórzy dygnitarze państwowi lub wielcy obszarnicy bywali zaszczytni godnością członków Izby Panów. Takich było 41. Niektórzy znów członkowie bardzo arystokratycznych rodzin otrzymywali godność „kammerherrów”, które nie wiele więcej znaczyły niż nasze staropolskie tytuły podczaszych, stolników lub koniuszych. Jeden z takich kammerherrów zwierzał się przed laty prof. Hirschfeldowi („Historia jednego życia”), że zebrania owych dostojników dworskich były śmiertelnie nudne.

Interesujący jest również fakt, że w ojczyźnie poetów i filozofów, za jaką uchodził Niemcy w XIX wieku z pośród 1037 członków „Borussii” w ciągu 107 lat zaledwie trzech zostało literatami średniej miary, a tylko piętnastu poświęciło się nauce po ukończeniu studiów, lecz żaden z nich nie zdobył jako gwiazda pierwszej wielkości. Jednym z nich, całkiem przeciętny filolog, dyrektor nauk w Akademii Ryccerskiej w Brandenburgu, ukończył gimnazjum z tytułem „primus omnium der Generation—Bismarck angehörte” — a więc rokował za młodu wielkie nadzieje, jednak atmosfera korporacji i niezmiernie ilości piwa, które trzeba tam było obowiązkowo wypić, zaprowadziły wyjąt-

mu później pomagać, że w końcu został prezydentem regencji Królewskiej. Wśród Borussów spotykamy jednego kolegę szkolnego i przyjaciela kanclerza Bismarka. Inny wreszcie — hrabia, dyplomata pruski napisał w 1843 r. broszurę pt. „Myśli o reorganizacji związku państw niemieckich”. Ze treść tej książki była zgodna z zamysłami Bismarka świadczy fakt, że ów hrabia był później aż do 1868 r. posłem niemieckim w Paryżu. Ze stanowiska tego ustąpił wskutek ciężkiej choroby.

Podając zawód b. korporantów Borussii, wyliczyliśmy wielką liczbę obszarników. Zdałoby się, że ci ludzie poza akcją, mającą na celu ochronę i powiększenie swego stanu posiadania nie wychodzili na szerszą arenę polityczną. Tymczasem jeden z obszarników hannowerskich był najpierw marszałkiem kongresu hannowerskiego, a później (lata 1857—1864) posłem księstwa hannowerskiego w Petersburgu. Nie było by to specjalnie interesujące, gdyby właśnie za czasów jego urzędowania w Petersburgu nie zawarto tam słynnej konwencji Alvenslebena (o czym niżej). Później tenże książę był w 1899 r. przedstawicielem Niemiec na konferencji pokojowej w Hadze, gdzie zaczęto opracowywać konwencję tylekroć deptaną przez Niemcy.

Syn pewnego kammerherra i obszarnika śląskiego, który ukończył najpierw akademię rycerską w Brandenburgu i Legnicy, a później prawo w Bonn, jako asesor sądowy został powołany do wojska i brał udział w tłumieniu rewolucji w 1848 r. w Poznańskim. Jako oficer rezerwy musiał być posłuszny rozkazowi, ale czemu z dumą podał do kroniki korporacyjnej fakt swego udziału w tej haniebnej wyprawie? Widocznie była ona zgodna z sumieniem niemieckiego sędziego.

Podobnie inny syn obszarnika — jako 24-letni student zaprotestował przeciw rewolucji w 1848 r. w ten sposób, że przypiął czarno-białą kokardę do białej czapki korporacyjnej.

W gronie członków „Borussii” znaleźliśmy bratanka kanclerza Bismarka. Początkowo pracował w sądownictwie, później zaś został zaufanym pomocnikiem stryja. Syn Bismarka, Herbert, był później wiceministrem, członkiem Izby Panów i generałem świąty.

Z suchych poprzednich wyliczeń widzimy, ilu b. członków „Borussii” porobiło wspaniałe kariery jako dygnitarze administracji, sądowej lub jako wojskowi w okresie rządów Bismarka. Wynika z tego, że byli wiernie oddani swemu arystokratycznemu przywódcy. Wspomnieliśmy poprzednio, że kilku b. Borussów w czasie wojny w 1870/71 zostało prefektami wojennymi departamentów w okupowanej Francji: w Chaumont, Rouen, Aisne i Nancy. Wiadomo, że takie stanowiska są powierzane wyjątkowo zaufanym i twardym ludziom, a takimi byli ludzie z „Borussii”.

Podobną rzecz wyczytaliśmy w kronice innego pokolenia korporantów „Borussii”. Oto jeden z nich, po złamaniu ręki nie mógł się pojechać na wojnę i z tego powodu był w korporacji tylko fuksem. Uzyskał doktorat filozofii i był w czasie pierwszej wojny światowej wyższym urzędnikiem w niemieckim zarządzie cywilnym w Belgii.

Inny wreszcie — baron, dr praw, stary dyplomata, stanął na czele delegacji niemieckiej na konferencję pokojową w Wersalu w 1919 r. Po podpisaniu traktatu wersalskiego napisał książkę pt. „Wersal” zaopatrzony tytuł w ogromny wykrzyknik. Wykrzyknik ten później w ustach Hitlera nazywał się „dyktatem”.

Większość b. korporantów „Borussii” pisała w okresie bismarkowskim i później aż do wybuchu I wojny światowej wyższe stanowiska w administracji państwowej, sądownictwie, towarzystwach rolniczych, Haka-cie, w świecie finansowym i w życiu społecznym. Przynajmniej połowa z nich urzędowała w Prusach Wschodnich, Pomorzu, Śląsku Dolnym i Górnym oraz w Poznańskim. Naturalnie, że żadna z akcji przeciwpolitycznych nie mogła im być obca, bo przecież korporacja żyła duchem Bismarka, który uczył: „Bicie Polaków, by odeszła im ochota do życia. Osobiście współczuję im w ich położeniu, ale my chcemy istnieć, nie pozostaje nam tedy nic innego jak ich wytepić. Wilk też nie odpowiada za to, że Bóg stworzył go takim, jaki jest. Dlatego grozi i zabija gdy tylko może”. Klasycznym przykładem takiego grożenia i zabijania są wyczyny, wprawdzie nie tylko samych b. członków „Borussii”, lecz i ich najbliższych krewniaków.

Wśród listy członków „Borussii” występują często nazwiska von Arnimów i von Alvenslebenów. Nazwiska te są pamiętne w historii Polski XIX i XX w. i dlatego warto je przypomnieć, bo to Prusacy typowi dla swych pokoleń. Wprawdzie Arnim, o którym mowa poniżej, nie był w młodości członkiem „Borussii”, lecz byli w niej jego czterej bliscy kuzyni. Otóż ten von Arnim, namiestnik pruski w Poznaniu, pod naciskiem Austrii, powołał w styczniu 1846 r. specjalną komisję, mającą na celu śledzenie i likwidację polskich działaczy rewolucyjnych. Na podstawie nakazu tej komisji dn. 12.II 1846 r. został aresztowany Ludwik Mierostawski, a później 254 innych Wielkopolan, podejrzanych o spisek. O dalszych losach tych więźniów, ich procesie berlińskim i uwolnieniu — jako o sprawie powszechnie znanej — nie piszemy. Podobnie postępowali Alvenslebenowie. Ich rodzina miała aż pięciu przedstawicieli w „Borussii” na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Ten, o którym mówimy, nie należał do „Borussii”, ale nie był ani lepszy ani gorszy od swych krewniaków. Jak ta rodzina była ustó-

sunkowana do Polaków niech świadczą fakty.

Bezpośrednio po wybuchu powstania 1863 r. Bismark postanowił wzmocnić kierunek antypolski w rządzie rosyjskim, utrudniać próby porozumienia się Polaków i Rosjan na płaszczyźnie antyniemieckiej i panslawistycznej i wreszcie wykazać zbieżność polityki rosyjskiej i pruskiej. W tym celu wysłał do Petersburga generała Gustawa von Alvenslebena z propozycjami pomocy Prus w dziele zgniecenia powstania polskiego. Misja ta miała być bodźcem dla chwiejnego cara i upoważniła go do „pobrzękiwania pruską szablą”. W rezultacie dn. 8.II 1863 r. została podpisana w Petersburgu konwencja prusko-rosyjska, od nazwiska swego pruskiego negocjatora zwana „konwencją Alvenslebena”. Układ ten upoważniał dowódców pogranicznych do udzielania sobie wzajemnej pomocy przy zwalczaniu oddziałów powstańczych, do przekraczania granicy, do wymiany wiadomości o działaniach polskich. W zamysłach Bismarka było to wstępem do zbrojnego wystąpienia Prus przeciw powstaniu i odnowienia tą drogą, dawnych ścisłych związków z Rosją.

I jeszcze jeden członek rodu Alvenslebenów, który najbardziej dał się we znaki narodowi polskiemu już w czasie ostatniej wojny. Mianowicie w czasie procesu Förstera świadkowie zeznawali o jego protegowanym von Alvenslebenie, pod którego kierownictwem „Selbstschutz” toruński wykonywał masowe egzekucje na ludności tego miasta. Według słów świadka — von Alvensleben ma na sumieniu śmierć wielu tysięcy Polaków, za co został odznaczony przez Förstera orderem gdańskim. Stara dewiza Bismarka o wilkach, które dlatego mordują, że do takiej roli zostały stworzone, powtórzona innymi słowy przez Hitlera, znalazła wykonawcę w potomku starego rodu, wiernego ideologii „Borussii”. Nie wspominaliśmy jeszcze o późniejszych latach prześladowań Polaków pod berłem pruskim. Oto w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia zaczęto metodycznie gnębić całą ludność polską w Poznańskim, zaczynając od duchowieństwa. W 1874 r. osadzono w więzieniu arcybiskupa Ledóchowskiego. W 1885 r. wydano z granic państwa 30 000 robotników polskich nie posiadających obywatelstwa niemieckiego. W 1886 r. rozpoczęto wykup majątków ziemskich z rąk Polaków w Poznańskim i na Pomorzu. Działło się to w czasie, gdy nadprezydentem prowincji Poznańskiej był dawny człowiek „Borussii” — von Güthner. Niedola Polaków na Śląsku w latach osiemdziesiątych ub. wieku znana jest powszechnie. A nadprezydentem prowincji Śląskiej był w tym czasie von Dalwitz — b. członek „Borussii”.

Jakże dziwnie brzmią dziś tytuły dawnych korporantów „Borussii” — hrabiego Tiele-Winklera „pana na Katowicach i Mysłowicach” oraz hr. Henkela von Donnersmarck — „pana na Siemianowicach”. Można by jeszcze wyliczać wiele tego rodzaju przykładów, lecz jest to zbędne wobec jednego charakterystycznego zdania Bismarka, wygłoszonego w parlamencie niemieckim w 1886 r.: — „Cherchez les Polonais (szukajcie Polaków) — gdziekolwiek dzieje się coś nieprzyjemnego dla Prus”. Poseł Cegielski odpowiedział mu na to tak: „gdziekolwiek prześladowają Polaków zawołać należy — cherchez le chancelier” (szukajcie kanclerza Bismarka), a my dodamy — i jego pojetych uczniów.

Stojący na szczycie pruskiej piramidy cesarz Wilhelm II, również b. członek „Borussii”, aczkolwiek od razu na początku swego panowania zmienił sobie kanclerza, nie zmienił jednak dawnych metod rządzenia, czego dowodem były jego słynne mowy antypolskie w 1894 r. w Toruniu i w 1902 r. w Malborgu. Członkowie „Borussii” uwielbiali cesarza Wilhelma, o czym świadczy napis na brązowej tablicy, wmurowanej w ścianę domu korporacji w Bonn. Na tej tablicy wypisano nazwiska wszystkich poległych b. korporantów „Borussii” z zaznaczeniem, że złożyli oni swe życie za cesarza i Rzeszę.

Nie należy się ludzi, że idea „Borussii” skończyła się wraz z II Rzeszą niemiecką. Przecież b. korporant „Borussii” — hrabia Puttkamer był jednym z adjutantów Hitlera, a rodzony syn cesarza Wilhelma II — książę August Wilhelm Hohenzollern, również b. członek „Borussii” został niedawno skazany przez Trybunał Denazyfikacyjny na 2 i pół roku obozu pracy za to, że był SA Obergruppenführerem, pruskim radcą stanu i członkiem hitlerowskiego Reichstagu.

Długi poczet b. członków „Borussii” to przecież nie całe prusactwo, lecz mały, ale charakterystyczny jego wycinek. Nie podobna na podstawie pamiętników „Borussii” utrzymywać, że takimi właśnie byli wszyscy Prusacy. Przeciwnie — można twierdzić, że taką była elita prusacka. I dalej — jak wyglądało ich życie na tle życia Niemiec — czy byli czynnikami twórczym, czy pasożytniczym. Na to pytanie łatwo może odpowiedzieć każdy, kto widział Niemcy przedhitlerowskie, gdzie wszystko było uporządkowane, usystematyzowane, obwarowane nakazami i zakazami, i gdzie robiło się wszystko dla podniesienia siły państwa, które mogłoby bronić stanu posiadania, przywilejów i stanowisk górnych warstw. Wówczas stanie się dla nas jasne, że potomkowie arystokratycznych junkrów staną i nadal zawsze ławą przy każdym ustroju politycznym, który będzie rozporządzał taką siłą i dopuszczał się każdej niegodziwości aby taką siłą uwielokrotnić.

Kazimierz Borzęcki

STUDENCI I NAUKA*)

Grupa wrocławska

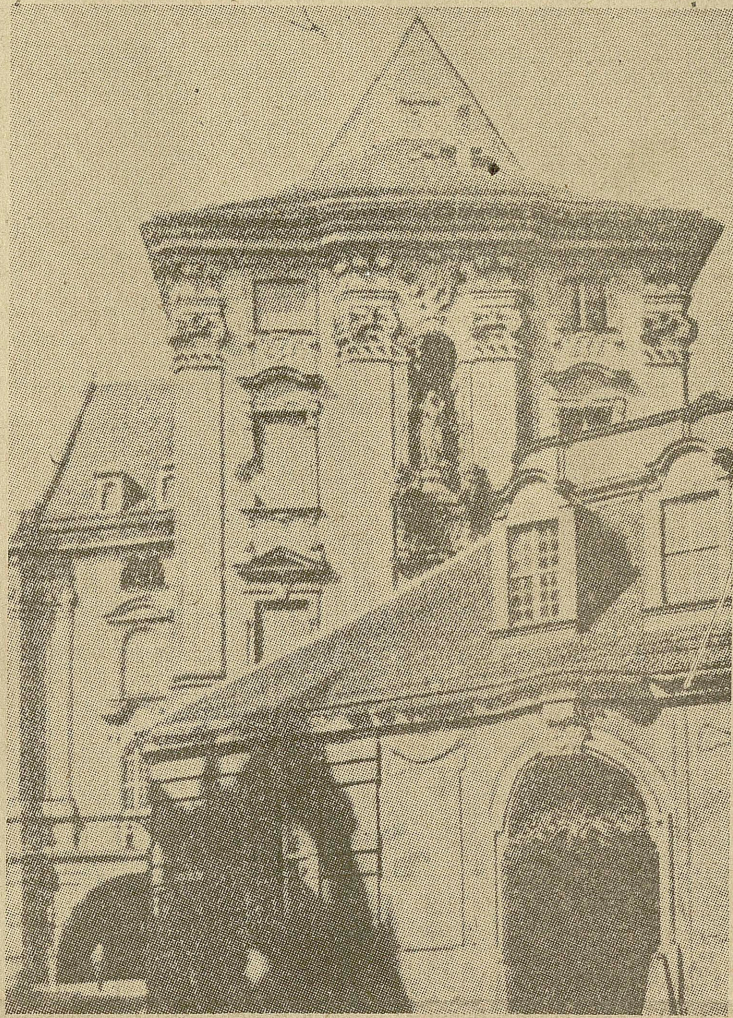
Zywe zainteresowanie studentów Wydziału Prawno-Administracyjnego Uniwersytetu Wrocławskiego wykładem „współczesnych doktryn społecznych na tle rozwojowym”, skłoniło wykładowcę do wprowadzenia nieobowiązkowych ćwiczeń pt. „Wskazówki praktyczne do badań naukowych w zakresie doktryn współczesnych”.

Celem pedagogicznym ćwiczeń było: 1) pogłębianie nabytych na wykładzie wiadomości poprzez samodzielną pracę; 2) zapoznanie się w teorii i praktyce z metodami badań historyczno-społecznych i ekonomicznych; 3) zapoznanie się ze źródłami nauk społecznych,

wiana szeroko przy współudziale kolegów i wykładowcy na ćwiczeniach.

Do udatnie opracowanych tematów należały:

- 1) Domasławskiego Tadeusza, Znaczenie świadomości społecznej dla rozwoju bytu społecznego.
- 2) Grzymskiego Adama, Zmiany sposobu produkcji i rozwój formacji społecznej.
- 3) Trojanowskiego Antoniego, Krótki zarys materializmu dialektycznego, filozoficznego i historycznego.
- 4) Misia Władysława, Charakterystyka współczesnej warstwy robotniczej.



Wrocław — Uniwersytet

wraz z interpretacją tekstów źródłowych, 4) zaznajomienie się z najważniejszymi pracami autorów polskich i obcych z zakresu doktryn społecznych, jak też i nauk pokrewnych.

Zaraz po ogłoszeniu powyższego ćwiczenia na rok akad. 1947/48, zgłosiło się ponad 100 kandydatów, z których stale uczestniczyło w zajęciach 82, w dwu grupach. Owocem pracy studenta było opracowanie przynajmniej jednego sprawozdania krytycznego z rozpraw i publikacji, lub próba samodzielnego referatu na temat oznaczony, w oparciu o źródła i literaturę z nauk społecznych i pokrewnych, którą musiał sam zdobyć metodą bibliograficzną. Przedłożona praca była zawsze oma-

- 5) Gdeczyka Kaz., Cel ekonomiczny socjalizmu jako świadoma konieczność.
- 6) Łukasza T., Dwa okresy rozwoju kapitalizmu.
- 7) Kanzy E., O charakterze praw ekonomicznych socjalizmu.
- 8) Zabiłotnej H., Problem wartości we współczesnych doktrynach ekonomicznych.
- 9) Bartoszewicza P., Towar i jego wartość.
- 10) Głowackiego J., Gospodarka Polski po drugiej wojnie światowej.

Tak wykorzystane ćwiczenia są podbudową w przygotowaniu każdego do twórczej i samodzielnej pracy naukowej — badawczej.

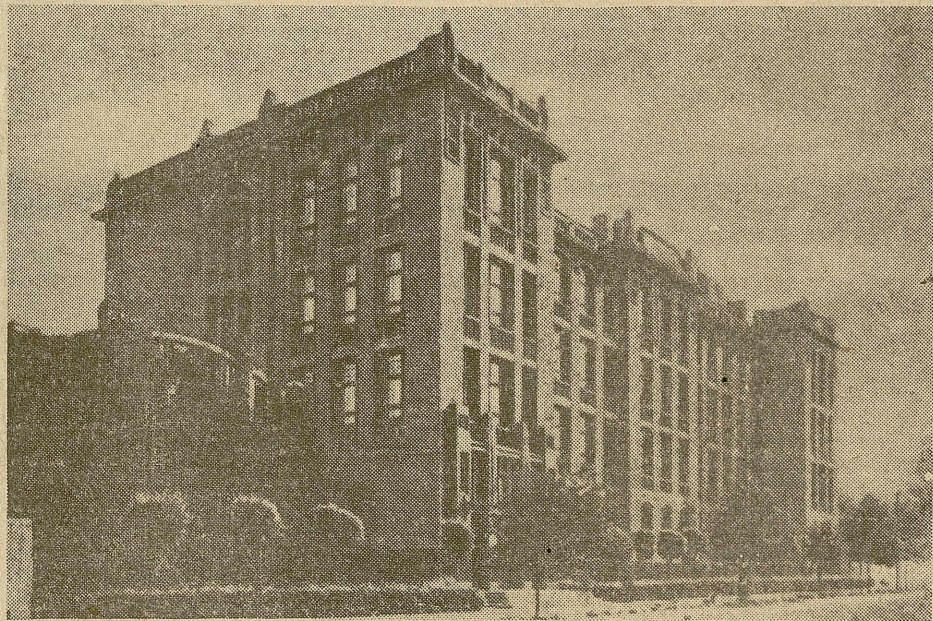
Franciszek Jukiewicz

Grupa łódzka

Trudno jest pisać o grupach intelektualnych młodych inteligentów. Są to zazwyczaj ośrodki najbardziej ciekawe i najbardziej pasjonu-

jące dla ubocznego obserwatora. Tym razem spróbuję nakreślić obraz takiej właśnie grupy. Od niedawna zaczęły pojawiać się w pismach literackich artykuły młodych, łódzkich polonistów. Potem był drugi ogólnopolski zjazd adeptów tej gałęzi humanistyki, z licznymi sprawozdaniami, z utyskiwaniem na „czerwoną Łódź” i z polemiką dokoła zjazdowego referatu, która odbyła się na łamach „Twórczości”. Stąd właśnie powstała fama o Łodzi, o marksistach na polonistyce, o żywym

*) Zamieszczamy trzy krótkie artykułki informujące o pracach wydziałów humanistycznych dwóch uniwersytetów polskich: wrocławskiego i łódzkiego. Stanowią one wstęp do szerszego rozpatrzenia działalności naszej humanistyki uniwersyteckiej.



Łódź — Uniwersytet

życiu intelektualnym wśród nich właśnie. Dotyczyło to właściwie garstki ludzi, debiutujących krytyków i literaturoznawców. Zaczynamy od ich rodowodu społecznego. Oczywiście drobniomieszczański lub inteligencki (wolne zawody). Te środowiska bowiem zasilały najwydatniej uniwersytet. Tradycja kulturalna? Inteligencki pseudoliberalizm sanacyjny szkoły. Lata 1945 — 46 przynoszą poważny przełom ideologiczny. Następuje coraz dalej idące przekonywanie się do marksizmu, aprobowanie jego haseł. Młodzi ludzie, przychodzący na uniwersytet, przynoszą wraz ze sobą fetyszym nauki, tradycję domową zazwyczaj. Szacunek jednak dla idealistycznych „prawd” wśród najmłodszego pokolenia humanistów szybko zniknął. Podział na to przede wszystkim rozwój myśli marksistowskiej i to właśnie na gruncie historii i teorii literatury. Nie więc w tym dziwnego, że patronami grupy, o której tutaj mówię, intelektualnymi wychowawcami, okazali się Stefan Żółkiewski i Jan Kott. Znaczenie ich było niewątpliwie dużo większe, niż powaga profesorskich przekonań podawanych do wierzenia z katedr. Oni to wsunęli do rąk „Osiemnastego Brumaire’a”, oni to atakowali ejdetyczne metody badań, formalizm oparty o fenomenologię, odchylenie dilttheyowskie, jednym słowem te wszystkie kierunki, które na terenie historii kultury nawiązywały do kryzysu antypozytywistycznego. To były początki. Potem zupełnie wyraźnie zaczęła się konsolidować grupa z kilku osób tak na gruncie politycznym, jak i intelektualnym. Pierwszym jej krokiem była walka z formalizmem. Siłą rzeczy należy wypełnić metrykę ideologiczną, wskazać na pozycję, którą ci młodzi ludzie, trochę znani być może już z pism, zajęli. Przyjęli metodę socjologiczną. To też je-

śli można wnioskować coś z prac, jakie zdążyli zamieścić, „Przedmowa do „Lalki” Jana Kotta była dla nich drogowskazem w badaniach. Mieli ambicje naukowe. Wysiłek ich nie biegł wyłącznie po linii prac seminaryjnych, zajmowali się badaniami na własną rękę, trochę pod wpływem inspiracji starszych krytyków i znanych publicystów. Cel, który postawili przed sobą — to zademonstrowanie w studiach nad poszczególnymi utworami możliwości i konieczności ujmowania dzieł literackich w zależności od innych zjawisk społecznych oraz teoretyczne uzasadnienie podobnych poczyną. Rozwój ten biegł po linii zapoczątkowanej przez „Mitologię i realizm”. Takie usiłowania, rzecz godna podkreślenia, podjęto wówczas, gdy profesorowie uniwersytetu w najlepszym razie, w najcenniejszych wyjątkach byli formalistami. Ogromna większość spośród luminarzy polonistyki kontynuowała za to bądź Kallenbacha, bądź Chrzanowskiego, sięgając nieraz do kreślenia w najgłębszym razie, w najcenniejszych wyjątkach byli formalistami. Ogromna większość spośród luminarzy polonistyki kontynuowała za to bądź Kallenbacha, bądź Chrzanowskiego, sięgając nieraz do kreślenia w najgłębszym razie, w najcenniejszych wyjątkach byli formalistami. Ogromna większość spośród luminarzy polonistyki kontynuowała za to bądź Kallenbacha, bądź Chrzanowskiego, sięgając nieraz do kreślenia w najgłębszym razie, w najcenniejszych wyjątkach byli formalistami.

Wartoby tu niewątpliwie dla zaznaczenia osiągnięć łódzkiej grupy polonistów i jej wielkiego znaczenia w obecnym położeniu młodej humanistyki, zestawić ją z ogólnym poziomem studenckiego środowiska. Prace, które słyszy się na seminariach — to ślady Chrzanowskiego, podstawowymi monografiemi w zakresie romantyzmu, a zarazem wzorem pracy naukowej w tej dziedzinie stały się

dzieła Kallenbacha i Kleinera. Rzadko kto czytał Ingardena, rzadko kto, wie co to znaczy formalizm, a na Zjeździe Kół Polonistycznych szczytem erudycji było zacytowanie przez jednego z przedstawicieli pomorskich ośrodków Oswalda Spenglera. W takiej to sytuacji ruch umysłowy, opierający się o kon-

sekwentne stanowisko marksizmu i odwołujący się do prób zreformowania, przebudowania metodyki historii oraz teorii literatury jest czymś bardzo pozytywnym i bardzo obiecującym w swym dalszym rozwoju.

Lech Budrecki

Łódź a socjologia

Łódzkie studium socjologiczne pod kierownictwem prof. Chałasińskiego nie jest grupą jednolitą. Dziwnym byłby stan przeciwny — wśród ludzi młodych, pochodzących z różnych środowisk społecznych i kształtowanych różnymi wpływami intelektualnymi. Czy jest to wada, niedociągnięcie albo jakaś niedomoga studiów? Trzeba raczej sądzić, że wymiana różnorodnych poglądów, krzyżowanie się też naukowych i społeczno-politycznych wzobogaca niezmiernie dyskusje, które są osnową seminariów — i pobudza zainteresowania naukowe.

Tu trzeba podkreślić wielką żywotność intelektualną łódzkiego ośrodka socjologicznego, która jest jego cechą zamiętną i tworzy dookoła niego jakiś „mit” socjologiczny — zarówno wśród studentów, jak i absolwentów gimnazjalnych.

Jest też faktem niewątpliwym, że studia socjologiczne zostały przez kierownictwo tego wydziału, a w pierwszym rzędzie przez prof. Chałasińskiego postawione na wysokim poziomie.

Poziom studiów, wespół z żywotnością i różnorodnością intelektualną, studentów dają ciekawe i pozytywne wyniki. Nie idzie o to, że tworzy się tu jakaś nowa szkoła socjologiczna, nowa metoda badań socjologicznych.

Możnaby raczej stwierdzić wyodrębnianie się — z biegiem studiów — zarówno metod naukowych, jak i problematyki. Niewątpliwie jednak większość studiujących ulega przemownemu wpływowi prof. Chałasińskiego i pod jego kierunkiem pracuje naukowo.

Trzeba tu podkreślić w pierwszym rzędzie — szeroko pomyślane studia nad Łodzią. W pracę wciągnięto liczną grupę studentów starszych lat. Za podstawę metodologiczną badań służy w pierwszym rzędzie — studia socjologów amerykańskich nad miastem Chicago — z pewnymi korektami, zrozumiałe.

Łódź jest jednym z nielicznych miast w Europie, które rozwijało się na modłę amerykańską i dzięki temu dostarcza wysoce efektywnego materiału socjologicznego. Czyż można się więc dziwić, że skupiła uwagę naukowców i zainteresowania studentów?

Wielka praca badawcza nad Łodzią wystarczałaby do zaliczenia łódzkiego ośrodka socjologicznego do rzędu zarówno nowatorskich — w polskich warunkach, jak i wysoce atrakcyjnych naukowo instytucji. Skoro zaś dodamy do tego żywotność intelektualną — obraz zarysuje się nam w świetle jeszcze znacznie ciekawszym.

Jan Wróblewski

Bywa i tak...

Unus defensor Mariae

Warszawa, 8. X. 46.

Henryku!

Ciesz się, żeś się dobrze w tym Elblągu urządził, że masz ładne mieszkanie i że Twoja Mama nareszcie po tylu latach tułaczki może wypocząć w spokoju.

Czy masz zamiar studiować? Bo ja złoścę się na siebie, że zmarnowałam ten rok, ale naprawdę bez niczyjej pomocy trudno się było w Warszawie urządzić. Początkowo pracowałam za 1800 zł miesięcznie i kupki w magistracie. Mieszkaliśmy na Bródnie u koleżanki, która zajmowała jeden kąt w kuchni rodziny milicjanta.

To śmieszne, ale wtedy wydawało mi się, że jestem kaczką, która każdy nurt przepływa, a dziś, kiedy mam już własny pokój, zarabiam 7 tys. miesięcznie i zaczęłam pierwszy rok studiów, zdaje mi się chwila, że mnie i moje plany kaczkę zdepcza.

Przez 5 lat okupacji nie wzięłam książki do ręki, a teraz znowu nie mam czasu się uczyć. Rano biuro, po południu wykłady. Dolicz do tego dwie godziny dziennie na tramwaje — urwać się można.

„Na siłę” idę naprzód. Jeżeli mimo to życie mi się nie uda, nie będę miała sobie nic do wyrzucenia. Robię, co mogę i nie tracę humoru.

Głowa do góry!

Marta.

Elbląg, 20. XI. 46 r.

Marto!

Tymczasem nie mogę się ruszyć z Elbląga ze względu na mieszkanie i Mamę. Jeżeli uda mi się parę interesów, które tu rozpocząłem, na przyszły rok rozpocznę studia w Gdańsku. Nie wiem jeszcze jaki wydział wybiorę. Jeżeli będę musiał pracować, wybiorę wydział, na którym wykłady odbywają się po południu. Może śladami ojca pójdę na WSH. Jeżeli zdołam przekonać wujka, żeby mi pomagał, pójdę na politechnikę. To się lepiej opłaci.

Aha — wyobraź sobie, że Stach pojechał do Płocka i wstąpił do seminarium duchownego!

Pozdrowienia

Henryk

Warszawa, 15. I. 47.

Henryku!

Wygodny jesteś z rozkładaniem sobie wysiłków na raty.

Co znaczy urodzić się w domu kupca — przynajmniej masz wycucie, co ci się opłaci... Ja po roku pracy mam własny ciemny kąt — i zamęt w głowie. Nie wiem, czy uda mi się, jak marzyłam od dawna — zostać publicystką — skoro dziś jeszcze po katastrofie sierpnia 44 r. nie jestem pewna swego sądu o życiu, a po tylu latach umysłowego ugoru — formy pisanych przeze mnie zdań... Muszę się uczyć i uczyć. Jeżeli mi się nie powiedzie to przynajmniej będę wiedziała, kto ma rację w niedzielnych artykułach wstępnych.

Czy wiesz na pewno, że Stach wstąpił do seminarium? Czy pisał może do Ciebie?

Marta.

Elbląg, 20. II. 47.

Marto!

Stach się z nikim nie pożegnał, o tym, że jest w seminarium, dowiedzieliśmy się od osób trzecich. Co prawda dawno już się na to zanosilo. Nie mógł sobie jakoś miejsca znaleźć. Kiedyś jako kilkunastoletni chłopiec chciał zostać księdzem, bo go matka w tym duchu wychowywała, ale ojciec mu wyperswadował. Jego ojciec, choć „kulak”, ale głowę miał otwartą, dużo czytał — i był, co tu dużo gadać — czerwony. Teraz po tej historii z ojcem, spowiednik przekonał Stacha, że to, co zaszło, to kara Boża za zbytne przywiązanie ojca do życia i odciągnięcie Stacha od stanu duchownego. A że Stach ojca bardzo

kocha i uważa, że ojca skrzywdzono, a jego samego — skompromitowano, stał się zawziętym wrogiem tego, co się teraz dzieje i sądzi, że tylko w sutannie znajdzie schronienie i ożę do walki.

U mnie nic nowego. W starostwie nudy, nawet porządnego brydza nie można zorganizować.

Wszystkiego dobrego

Henryk

Warszawa, 3. III. 47.

Henryku!

Stach mi jeszcze w liceum mówił o tym swoim zamiarze, ale gdy rok minął, myślałam, że zapomniał.

Dlaczego Ty, najbliższy przyjaciel, nie wytłumaczyłeś mu, że wywiezienie z kraju jego ojca jako zdrajcy, to nie dopust Boży, a po prostu pomyłka władz, o którą w styczniu 45 r. w przyfrontowym bałaganie nawet zbytniej pretensji nie można było mieć?

I pocóż ta mistyczna ekspiacja, skoro ze strony jego ojca nie było winy — został po prostu steroryzowany kiedy pod grozą rewolweru, zakładał jako soltys te nieszczerne pętle podczas publicznej okupacji. Za to, że nie okazał się bohaterem i nie oparł się — skoro egzekucji i tak nie był w stanie zapobiec — karać go nie można.

Strasznie mi żal Stacha. Tylko jego ambicja jest powodem tego szaleństwa. Jak spowiednik to zrobił, że Stach uważa ojca jednocześnie za — skrzywdzonego i — winnego? Winny moralnie — a skrzywdzony politycznie? Tu jest błąd w rozumowaniu i jeżeli on dlatego poszedł do seminarium, to jak się połapie — wystąpi. Chyba, że weszłoby w grę jakieś nowe elementy.

Marta

Elbląg, 17. V. 47.

Marto!

Pisał do mnie nasz kapucyn, mam już drugi list od niego. Uważa, że słuszną drogę obrał. Jeżeli chodzi o niego — to kłamka zapadła — włożył sutannę. Nawet nie miał początkowo zamiaru czynić tego przed upływem roku, ale były jakieś uroczystości w związku z przyjazdem nowego biskupa i ze względów dekoracyjnych zaproponowano kilku z nich, żeby włożyli sukienki. Stach był już, tak przebrany, w domu. Pisz, że było mu niewyrażnie, jak się wszyscy na niego gapili.

Ściskam dłoń

Henryk

Olsztyn, 20. IX. 47.

Marto!

Przeniosłem się do Olsztyna. Pracuję teraz w banku. Dawno nie miałem listu od Ciebie, to też odpisz zaraz. U mnie poza tym, że od października zaczynam studiować — nic nowego.

Wrócił ojciec Stacha. Ciekawym jak Stach zareagował.

Bądź zdrowa

Henryk

Warszawa, 6. X. 47.

Stachu!

Bardzo się cieszę, że wrócił Twój Ojciec. Zawsze Ci szczerze tego życzyłam i uważałam, że spotkała Was wielka krzywda.

Napisz do mnie jeżeli możesz. Z naszej klasy prawie wszyscy obracają się nadal w tym samym kręgu ludzi, zdarzeń i pojęć. My dwoje tylko poszliśmy innymi drogami i — jakże różnymi.

Ciekawa jestem, jak daleko po roku pobytu w Płocku odszedłeś od naszego liceum, od naszych przedmaturalnych dyskusji?

Marta.

Płock, 18. X. 47.

Marto!

Dziękuję Ci za pamięć, za podzieloną z nami radość z okazji powrotu mego ojca.

Pytasz, jak daleko odszedłem od naszego gimnazjum? — Te szczęśliwe czasy wydają mi się tak odległe i tak nie-po-wro-tne...

Pamiętam Marto, jak mi mówiłaś: Nie chodź, będziesz żałował! Byłaś dobrym wrogiem złego. Głupia ambicja, jeżeli to w ogóle można nazwać ambicją, potrafi wykołcić życie. Jest mi źle, ale niech nikt nie wie o tym oprócz Ciebie. — Boś przewidziała, a ja nie-baczny — nie usłuchałem. Może jeszcze się przełamie, może zdołam dostosować się do tego życia. Najwięcej zraziło mnie otoczenie, środowisko, w którym jestem. Znalazłem w nim głównie dziwaków. Wiesz, żeby ja coś ukochał, muszę najpierw to dobrze poznać. A jeżeli sam nie umiem sobie drogi znaleźć — oni winni mi ją wskazać. A tymczasem — to jest może płytkie — oni mnie sobą odstraszają.

Ja chcę być normalnym człowiekiem, szczerym i trzeźwym. I przede wszystkim muszę rozumieć, dlaczego postąpić mam tak, a nie inaczej. A tu tylko każą mi słuchać, milczeć i modlić się.

Odpisz mi dopiero przed Bożym Narodzeniem, bo boję się, żeby nie załapali listu. Bądź ostrożna w swoich wypowiedziach — i tak nie wiem, jak to się stało, że ten list od Ciebie dostałem.

Serdecznie Cię pozdrawiam

Stach

Płock, 1. XI. 47.

Marto!

Wybacz, ale mam do Ciebie wielką prośbę — nie odpisuj mi. W seminarium obostrono cenzurę. Korzystam z tego, że wysyłają mnie dziś do Katedry, żeby wrzucić te parę słów.

Wybacz — i bądź zdrowa — nie gniewaj się Stach.

Olsztyn, 15. III. 48.

Marto!

Wziąłem sobie do serca, coś mi opowiedziała o liście naszego kapucyna. Ja też do stałem od niego list podobnej treści. Wypaliłem mu więc sążnista epistoła. Skoro mu zawód księdza nie odpowiada, niech rzuci sutannę i niech przyjeżdża — miejsca i chleba jest dość.

Księża złapali list, zrobili mu awanturę, — biedny Stach nie wiedząc ani od kogo ten list, ani co zawiera, kręcił się jak piskorz.

Prosił, aby bez względu na następstwa powtórzyć treść, więc napisałem jeszcze raz, z cichą nadzieją, że go za to wyleją.

Mam już nawet dla niego uprzoną pracę. Nareszcie ten dramat się skończy. Czemu on nie występuje, nad czym on się jeszcze zastanawia? Przyjedzie tu, zapisze się na ten sam wydział i tak, jak ja, nawet się nie obejrzy, jak pierwszy rok będzie miał poza sobą. A reszta już pójdzie gładko.

Henryk

Warszawa, 18. VI. 48.

Henryku!

Mnie się też zdawało, że to wszystko jest bardzo proste. Przyjechałszy do Płocka, powiedziała mi sobie, że jeżeli Stach robi wrażenie głęboko wierzącego, nie będę starała się z nim zobaczyć. Poszłam więc najpierw do katedry, spодziwając się go zobaczyć podczas odbywającego się tam solennego nabożeństwa.

Po południu w parlatorium bez ogródek i wstępów powiedziała mi wszystko, co mówił mi w jego sprawie. Przygotowana byłam na jakieś protesty, czy dyskusje, ale Stach z miejsca wyznał, że zamierza wystąpić. Nie czyni tego w tej chwili, bo chce złożyć egzamin, który przez wiele miesięcy obkuwał.

Wypytywał o warunki życia. Wiesz, miałam wrażenie, że rozmawiam z kimś wracającym z zagranicy. Okazało się, że oni w seminarium żyją rzeczywiście jak zagranicą,

czy na księżycu. Bez gazet, bez radia, trochę katolickich tygodników ma im wystarczyć.

To też Stach boi się życia. Czas spędzony w zamknięciu sprawił, że chowany w cieplarnianej atmosferze studiów od lity do lity z mniejszego i większego formatu brewiarzy, zdaje sobie sprawę, że samodzielne przedsięwzięcie sądów o naszej nowej rzeczywistości, bez skorupy jaką stanowi sutanna, może go doprowadzić znowu do ostrych konfliktów z życiem.

Obiecałam, że postaram się wszystko mu tłumaczyć i wprowadzić go w krag kolegów, którzy mu wiele spraw pomogą zrozumieć i właściwie ocenić. Przyjął to z radością.

Ponieważ wstydył się w swojej wsi pokazać bez sutanny, miał zamiar na początku jechać do Ciebie, a potem do Wrocławia. Twierdził, że gdyby nie to, że jakoś nie wypadło nie założyć sutanny, gdy przyjechał biskup, nigdy by potem już tego nie uczynił.

Tak żeśmy się zagadali, że przyszedł Franek. Nie wiem czy go pamiętasz, był od nas o klasę niżej, jasny blondynek, pokorny, cichy syn plebiana, donosił na kolegów prefektowi. Miał ze sobą numer „Sursum Corda”, wiesz, takie wewnętrzne pismo alumnów, numer z kwietnia tego roku. Z pobieżnej lektury tego pisma dowiedziałam się dwu rzeczy. Przed Wielkanocą (a więc w okresie zatrzymania przez cenzurę seminaryjną Twoich dwu listów), po solennych rekolekcjach dołożono Stachowi jeszcze dwa święcenia (a Ty myślałaś, że gdy się księża dowiedzą, że on się w seminarium dusi, to go sami wyrzucą).

I drugie: „Kronikarz” pisze — Ksiądz Dyrektor życzył alumnom składającym mu świąteczne powinszowania — pomyślnych egzaminów i polecił wobec naprężonej sytuacji politycznej zdać się na Opatrzność Boską.

Informacja o naprężonej sytuacji politycznej, w której trzeba się zdawać na Opatrzność Boską i to sprzed Wielkanocy 1848 jest niezwykle cenna, szczególnie że ksiądz dyrektor ma w seminarium ogromny autorytet, a alumn, jako się rzekło, nie czytuja gazet.

Franek domyślił się może, że mam zamiar odwozić Stacha z pobożnej drogi, bo w pewnym momencie powiedział: „dziś każdy alumn to rycerz Marii” i dziś w Polsce „dezercja z szeregów duchowieństwa jest sprawą braku honoru”.

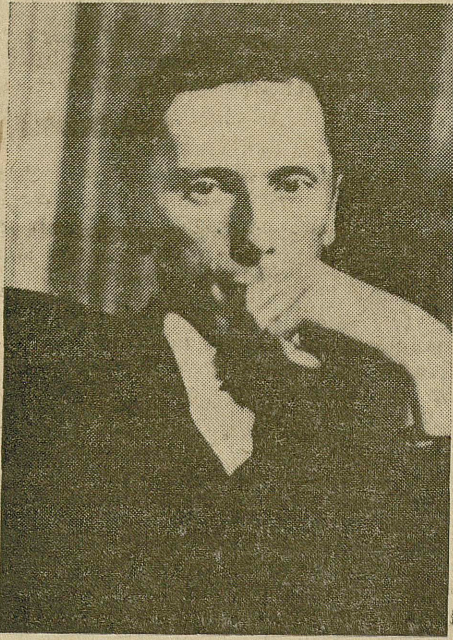
A więc masz: „unus defensor Mariae” w naprężonej sytuacji politycznej. Kiedyś samo hasło „Bóg, Ojczyzna w potrzebie” oblekało tysiące ludzi w mundury — okazuje się, że patriotyzm służy dziś do szczonego zapiecia kołnierza sutanny, gdy zawodzi „powołanie” alumna do stanu duchownego.

Wieczorem po powrocie do hotelu napisałam mój pierwszy artykuł publicystyczny o papieżu, naszych granicach zachodnich, niekompetentnych autorytetach i chowaniu przyszłych polskich proboszczów i prefektów bez wiedzy o rozgrywających się w świecie wypadkach, nawet bez znajomości naszej nowej geografii. A tymczasem Franek pewno zaalarmował księży, że na ich owieczkę czyha niebezpieczeństwo, bo następnego dnia w południe czekałam na Stacha przy wejściu, tak jakżeśmy się umówili. I Stach nie przyszedł. I do dziś nie przysłał listu. „Unus defensor Mariae” zgodnie z nakazem honoru pozostał w twierdzy. Będzie słuchał, milczał i modlił się w oczekiwaniu na nową wojnę, chociaż chciał: „...być człowiekiem szczerym i trzeźwym a nade wszystko rozumieć, dlaczego ma postąpić tak, a nie inaczej”. Rozumieć, dlaczego zmarnował swoje życie nigdy nie będzie. Najwyżej powie, że to była wola Boska. I czy „woli Boskiej” możesz Ty, albo ja, Henryku się przeciwstawić, skoro ani napisac do niego, ani zobaczyć się z nim nie możemy?

Marta.

Zebrała i przygotowała do druku

Irena Wodzińska



Andrzej Panufnik

Leon Schiller

Odpowiadamy teraz na pytanie, jakiemu „izmowi” hołduje polska sztuka teatralna w ustroju demokratyczno - ludowym.

Odpowiedź będzie prosta: takiemu, który wkalkulował w swój program te fakty historyczne, co odgrodziły nas na zawsze od tragicznej przeszłości społecznej, a zarazem wypełniły testament najszlachetniejszych synów Ojczyzny, bojowników o wolność i sprawiedliwość Polski Ludowej. Służyć będziemy temu „izmowi”, co stanie na straży osiągnięć Wielkiej Reformy, który na jej podwalinach zbuduje myśl o Polsce nowej, silnej, gospodarnej, mądrze się organizującej, oświeconej, szanującej godność człowieka, miłującej pokój, lecz gotowej do walki z wrogami ludu polskiego i międzynarodowego Świata Pracy.

Wyznawać będziemy tylko taki „izm”, który nie zamyka oczu na podziemną robotę obłąkańców lub zbrodniarzy, podsycaną przez agentury obce i groteskowy, samozwańczy rząd emigracyjny, złożony z reneatów, awanturników i kondotierów.

Uznajemy tylko taki „izm”, który umie powiązać te na pozór samorodne i lokalne ekscesy z akcją podpalaczy, rozniecających ogniska faszyzmu w Niemczech, we Włoszech i w Japonii, w Hiszpanii, Portugalii i Grecji oraz w Chinach, — „izm” świadomy nowej tragedii Żydów, wyzwolonych Indii i ludów indonezyjskich.

A więc „izm” o zdecydowanym obliczu politycznym.

Nas Polaków nie powinien przerażać taki kierunek w sztuce teatralnej. Dramat nasz i teatr, w najpiękniejszych swych okresach, polityczne sobie stawiał cele i polityczną grał rolę. Zaczęło się „Odprawą posłów greckich”, w epoce stanisławowskiej zasługują się narodowi tak pojętymi obowiązkami teatropisarstwa Bohomolec, Niemcewicz, Wybicki — a przede wszystkim wielki nasz Bogusławski, który niepośledni talent literacki, z aktorskim, reżyserskim, dyrektorskim i społeczno - wychowawczym umiał połączyć. Z politycznych wychodzą założenia i mierzą w cel polityczny uroczyste pogodne komedie Aleksandra Fredry, oczywiście nie w tym stopniu, jak sobie to wyimaginował prof. Kucharski. Czyż trzeba przypominać „Dziady”, „Kordiana”, albo „Nieboską”, która mimo niedającej się stuszczać ideologii kontrrewolucyjnej, pomimo koszmarnych urojeń, z „lęku syna szlacheckiego” zrodzonych, dzięki najsurowszej, na jaką sobie u nas kiedykolwiek pozwolono, krytyce klasy posiadającej, dzięki szczytnie pojętej roli poety w społeczeństwie i dziś jeszcze pewien walor moralny posiada.

Komu mało byłoby na to dowodów, jak można w teatrze sztukę z pożytkiem społecznym i politycznym godzić, niech, nie sięgając do tragików greckich, bezimennych twórców średniowiecznych widowisk religijnych, pamięta tylko o Szekspirze, Moliere, Beaumarchais, Fryderyku Schillerze lub Wiktorze Hugo, niech sobie przypomni biedaczyńkę, muzykusa z partycularza, Stanisława Moniuszkę, któremu zawdzięczamy jedyny dramat ludowy, ideą demokratyczną przepojony, w dobie „Wiosny Ludów” powstały i jej ożywczym aromatem tchnący — „Halke”.

„Łódź Teatralna” Nr 2 (10).

Teatr Schillera
„Burza”

Julian Tuwim

DO PROSTEGO CZŁOWIEKA

Gdy znów do murów kłajstrem świeżym
przylepiać zaczęła obwieszczenia,
gdy „do ludności”, „do żołnierzy”
na alarm czarny druk uderzy
i byle drab i byle szczeniak
w odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
że trzeba iść i z armat walić,
mordować, grabić, truć i palić;
gdy zaczęła na tysiączną modłę
ojczyznę szarpać deklinacją
i ludzi kolorowym gódem,
i ludzi „historyczną racją”
o piędzi, chwale i rubieży,
o ojcach, dziadach i sztandarach,
o bohaterach i ofiarach;
gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
pobłogosławić twój karabin,
bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,
że za ojczyznę — bić się trzeba;
kiedy rozścierwi się, rozchami
wrzask liter z pierwszych stron dzienników,

a stado dzikich bab — kwiatami
obrzucać zacznie „żołnierzyków” —
— O, przyjacielu nieuczony,
mój bliźni z tej czy innej ziemi!
wiedz, że na trwożę biją w dzwony
króle z panami brzuchatemi;
wiedz, że to bujda, granda zwykła,
gdy ci wołają: „Broń na ramię!”
że im gdzieś nafta z ziemi sikła
i obrodziła dolarami;
że coś im w bankach nie sztytuje,
że gdzieś zwęszyli kasy pełne
lub upatrzyły tłuste szuje
cło jakieś grubsze na bawelnę.
Rznij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
zawołaj, broniąc swej krwawicy:
„Bujać — to my, panowie szlachta!”

Biblia cygańska 1929.

Władysław Broniewski

ŻYDOM POLSKIM

Z polskich miast i miasteczek nie słychać krzyków rozpacz,
padli, jak hutec bojowy, warszawscy obrońcy getta...
Słowa me we krwi nurzam, a serce w ogromnym placu,
dla Was, o Żydzi polscy, polski tułacz poeta.

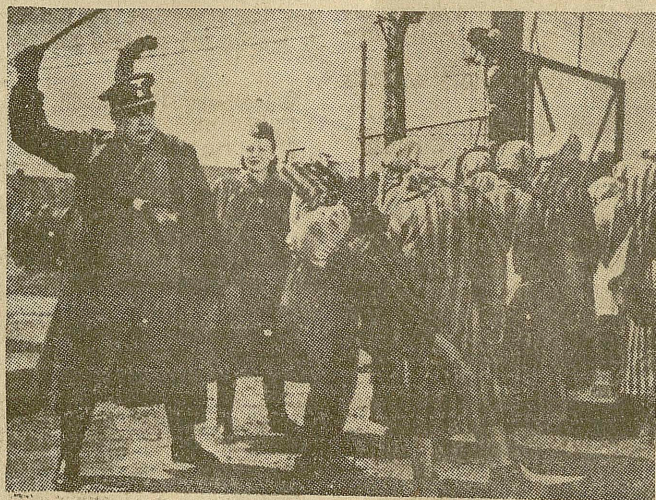
Nie ludzie, lecz psy okrwawione, i nie żołnierze, lecz kaci,
przyszli, by śmiercią porazić was, wasze dzieci i żony:
gazem w komorach wydusić, wapnem w wagonach wytracić
i sztydzić z umierających, bezbronnych i przerażonych.

Lecz wyście podnieśli kamień, by cisnąć nim w kanoniera,
który nastawiał działo, by dom wasz zburzyć do szczytu...
Synowie Machabeuszów! i wy potrafiacie umierać,
podjąć bez cienia nadziei walkę, we Wrześniu zaczęta.

Oto, co trzeba wyrzucić, jak w głazie, w polskiej pamięci:
wspólny dom nam zburzono, i krew przelana nas brata,
łączy nas mur egzekucji, łączy nas Dachau, Oświęcim,
każdy grób bezimienny i każda więzienna krata.

Wspólne zaświeci nam niebo ponad zburzoną Warszawą,
gdy zakończymy zwycięstwem krwawy nasz trud wieloletni:
każdy człowiek otrzyma wolność, kęs chleba i prawo,
i jedna powstanie rasa, najwyższa: ludzie szlachetni.

Wiersze zebrane. Sp. Wyd. Wiedza 1948.

Scena z filmu „Ostatni etap”
w reżyserii Wandy Jakubowskiej

Zofia Nałkowska

Zofia Nałkowska

Wojna ostatnia, tak w swej istocie i przebiegu odmienna od wojen dawnych, stanowi wciąż jeszcze materiał tematyczny dzisiejszej twórczości literackiej. Jest też czynnikiem, wyznaczającym jej ucuciowe napięcia i formalne środki wyrazu. Można powiedzieć, że domaga się środków wciąż nowych — jakgdyby wszystkie dotychczasowe były wciąż nie wystarczające do oddania niezwykłości i wymiarów zjawiska.

Dzikość i barbarzyństwo nie były rzeczczą nową w tej wojnie. Cechami, odróżniającymi ją od barbarzyństwa i dzikości wojen dawnych, zaskakującymi i wstrząsającymi przez swą nowość, były: napróżd jej oparta na ostatnich zdobyczach wiedzy czystej technika bojowa i statystycznie planowana śmiertelność, po wtóre — całkowita dla napastnika opłacalność, nawet rentowność imprezy, wreszcie staranna historiozoficzna i filozoficzna motywacja.

Akustyczność haseł, zrodzonych z bergsonowskiej intuicji i kultu podświadomości, zapewniła szeroki posłuch propagandzie, korzystającej umiejętnie ze zdobyczy psychologii doświadczalnej do szerzenia mistyki rasy i nadludzkiej uprawnień indywidualności. Uroczyste palenie dzieł kultury, zarażonych intelektualizmem i humanitarnym nowatorstwem, miało zapewnić bezpieczeństwo władowi tego systemu wierzeń na daleką przyszłość.

„Wieś” nr. 32—33 (161—162).

Jerzy Zawieyski

Wojna w Palestynie trwa i trwać będzie dotąd, dopóki gra polityków nie uzna się zbędności. Sumienie świata odzywa się gdzieś gdzieś kwileniem pisklęcia. Wiem, że i ten głos nie będzie miał innej siły. Polacy znają nieczułość sumienia świata i pamiętają niejedną gorzką chwilę swojej całkowitej samotności. Pamiętamy rok 39-ty, gdy na horyzoncie wyglądaliśmy z utęsknieniem pomocy aliantów. Pamiętamy tragiczne chwile warszawskiego powstania.

Żydzi w Palestynie cierpią tak, jak cierpi każdy człowiek, którego dom się pali. Nie twierdzą, że tragedia Żydów jest największą tragedią świata, — ale fakty są bezsporne: giną ludzie, giną w obronie swego domu, swego życia, w obronie swoich nadziei i swojej miłości. Organizacja Narodów Zjednoczonych okazała całą swoją bezsilność i całą chwiejność. Tragedię ludzkich istnień przysłoniła polityka zimna, wyrachowana i bezwzględna. Ona, polityka, znieczuliła sumienie świata.

Jakkolwiek zakończy się ta wojna, w dziejach świata pozostanie na zawsze ten fakt, że dnia 16 maja zostało zręstyowane starożytne państwo narodu żydowskiego pod nazwą „Izrael”. Prześliliśmy ziemi żydowskiej, ziemi świętej słowa Mickiewicza, który je wypisał sto lat temu w swoim składzie zasad z roku 1848:

„Izraelowi, bratu starszemu... braterstwo!”

„Tygodnik Powszechny” Nr 25 (170).

Antoni Słonimski

DWIE OJCZYZNY

W twojej ojczyźnie karki się zgina
Przed każdą władzą.

„Dla zwyciężonych — wżgarda i ślina,
Gdy ich na kaźń prowadzą.

W twojej ojczyźnie, gdyś hołdy składał —
Przed obce trony,
W ojczyźnie mojej, jeśli kto padał,
To krwią zboczony.

W ojczyźnie twojej do obcych w wierze
Bóg się nie zniża.

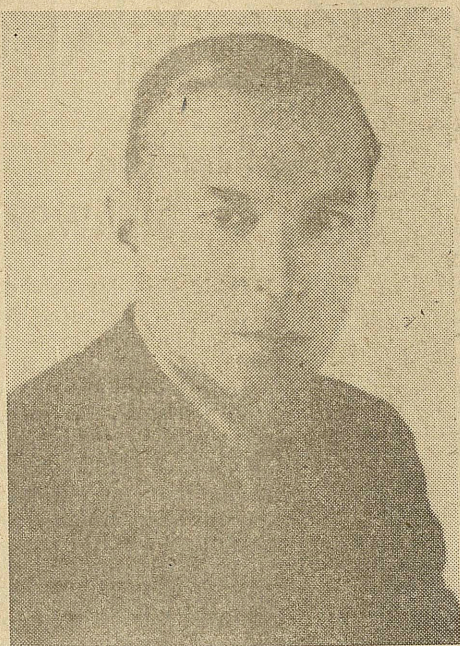
Moja ojczyzna świat cały bierze
W ramiona krzyża.

W twojej ojczyźnie sławnych portrety —
Tom w etażerze.

W mojej ojczyźnie słowa poety
Oprawne w serce.

Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty
I noc bezgwiezdna,
Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej
Jeśli jej nie znasz?

Wybór poezji. Sp. Wyd. „Czytelnik”. 1946.



Prof. dr Julian Krzyżanowski



Maria Dąbrowska

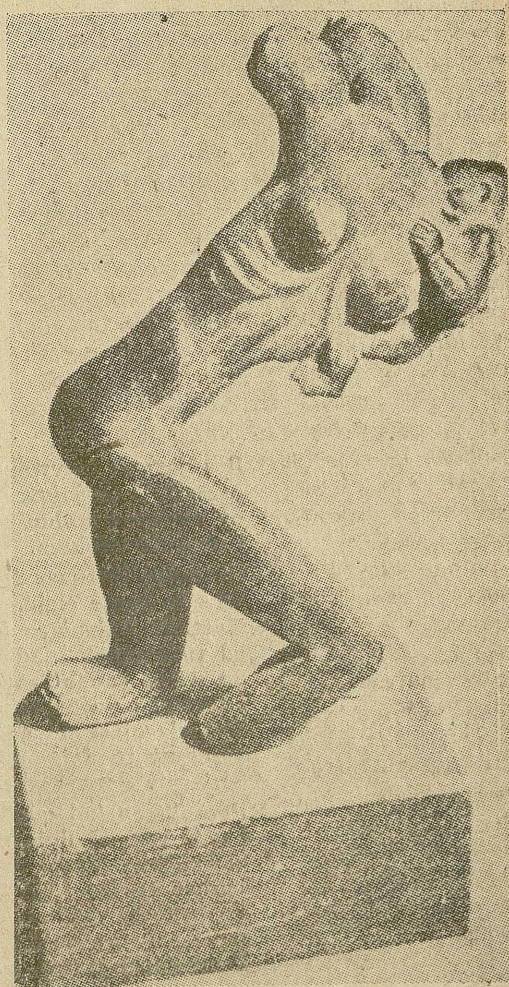
Maria Dąbrowska

Druga seria Pamiętników chłopów zawiera dziesięć prac, z których każda zasługuje na osobne i wnikliwe rozpatrzenie. Ponieważ w ramach słowa wstępnego nie można sobie na to pozwolić, poprzestanę więc na ogólnym scharakteryzowaniu całości. A raczej może po prostu na wprowadzeniu czytelnika w krąg wrażeń, których sama, obcując z tym zbiorem pamiętników, doznałam.

Przed wszystkim więc, żaden z tych dziesięciu pamiętnikarzy nie daje się podciągnąć bez reszty pod klasyczne pojęcie zasiedziałości włościanina - rolnika. Niełatwo jest wyliczyć różnorodność zawodów, których ci ludzie próbują, zajęć, którym się z upodobaniem lub konieczności oddają, przygód, które ich wtrącały w coraz to inne środowiska i losy, typów życia, które naprzemian stawały się ich udziałem. Rozległa skala obejmuje tu, zda się, nie dziesięć, a kilkadziesiąt żywotów, nie jedną — lecz kilka warstw, czy też grup społeczno - gospodarczych, i conajmniej dziesięć zlekka lecz wyraźnie odmiennych poziomów kulturalnych, postaw duchowych, poglądów na świat, osobowości uczuciowych. Między tymi dziesięciu ludźmi znajdziemy zubożonego chłopca - potentata i małorolnego z gatunku tych, co ani żyć, ani umrzeć nie mogą; gospodarza, spychanego pomału do rzędu proletariatu i robotnika rolnego, dorabiającego się w polu czoła odrobiny własnego gruntu. Znajdziemy dalej wiejskich rzemieślników: kowala, szewca, krawca, stolarza, murarza, bednarza; znajdziemy drobnego mieszczaństwa, ciężącego tyłem do handlu i rzemiosła, ile do roli; znajdziemy ogrodnika i hodowcę, a wreszcie — fachowego i niefachowego robotnika wielkiego przemysłu, górnika, blacharza, metalowca i na koniec — emigranta sezonowego lub wieloletniego, żołnierza, wojennego wiarusa, wędrowca po wielkich szlakach świata i zaściankowicza, co nie wychodził z granic rodzinnej strony. W dziedzinie charakterów, temperamentów i w ogóle życia duchowego spotkamy tu idealistę i trzeźwego praktyka, twardego przedsiębiorcę i pełnego czułości kontemplatora życia, łagodnego, życzliwego sceptyka i zgryźliwego lub zapalonego reformatora, piniacza i niosącego zgodę miłośnika pokoju, radującego się entuzjastą i zrozpaczonego pesymistą, kutego na cztery nogi wygę i cichego prostaczka..

Z wszystkiego, cośmy tu powiedzieli, wynikałoby może wogóle, że pojęcie chłopca, uosobianego w postaci siewcy i oracza, jednolitego jak opoka, trwająca nieruchomo na dnie narodowego bytu, odbiega znacznie od rzeczywistości, która jest o wiele bardziej złożona i fantastyczna.

Słowo wstępne do Pamiętników Chłopów Ser. II. Inst. Gosp. Spółdz. Warszawa 1936.



Fr. Strynkiewicz. Rzeźba

Zygmunt Wojciechowski

Prof. historii U. P.

Praca niniejsza ukazała się w druku po raz pierwszy w roku 1933 w tekście od niniejszego węższym, uzupełnionym o mapkami. W czasie okupacji autor ogłosił drukiem tekst znacznie rozszerzony, jednak bez ilustracji kartograficznej. W obecnym wydaniu tekst został tu i ówdzie skrócony, główne linie rozwojowe zostały jednak jeszcze silniej uwypuklone.

Praca powyższa spotkała się z licznymi replikami i polemikami ze strony niemieckiej, przeczącej głównej tezie autora o zasadniczym znaczeniu utraty ziem nadodrzańskich przez dawną Polskę i o roli ziem macierzystych w jej rozwoju dziejowym. Zmienili Niemcy to stanowisko dopiero w czasie wojny. Herbert Ludat „Dozent an der Reichsuniversität Posen” ogłaszając w roku 1942 „pracę o początkach Państwa Polskiego i stwierdziwszy, że „dyskusja (z uczonymi polskimi) po rozstrzygnięciu zbrojnym została zakończona”, i że tematy te „po zlikwidowaniu („Ausschaltung“), Państwa Polskiego i nauki polskiej straciły polityczną aktualność”, pozwolił sobie najpierw na odwołanie tezy o normanickim początku Polski. Następnie zaś, w pracy o biskupstwie lubuskim, w całości zgodził się na pogląd autora o zasadniczym znaczeniu Odry i Ziemi Lubuskiej dla rozwoju stosunków polsko - niemieckich. Wydawało się tym panom, że skoro podbito Polskę, nie trzeba już broni „zastępczej” w postaci tez historycznych o braku zmysłu państwowego u Polaków, względnie, że można już powiedzieć prawdę o roli ziem nadodrzańskich skoro ich rewindykacja przez Polskę przestała być — w rozumieniu niemieckim — aktualna.

O tym wszystkim trudno spokojnie mówić, nie mniej autor pragnie czytelnika upewnić, że książkę tę, aczkolwiek w obecnej redakcji powstała ona w czasie okupacji, w pierwszych 4 miesiącach 1942 r., pisał z pełnym poczuciem odpowiedzialności za wypowiedziane twierdzenia, w tym przekonaniu, że uczony odstępujący od założeń etyki naukowej nie spełnia zadań, nałożonych nań przez społeczeństwo.

Polska — Niemcy. Dziesięć wieków zmagania. Wydawnictwo Instytutu Zachodniego, Poznań, 1945.



K. Dunikowski. Głowa wawelska

Leon Kruczkowski

Świat jest skomplikowany, ale i prosty zarazem — prosty dla tych, którzy uczciwie pragną go zrozumieć. Pozorny paradoks socjalizmu polega na tym, że on, doktryna klasowa, dąży w istocie swojej do bezklasowego społeczeństwa — podczas, gdy przeciwnicy klasowości tak czy inaczej pragną podział klasowy utrzymać. Drugi pozorny paradoks socjalizmu polega na tym, że on, doktryna materialistyczna, w istocie swojej zmierza do autentycznego humanizmu — podczas, gdy piękno duchy mieszczańskie sankcjonują porządek rzeczy, w którym człowiek jest służką materii, niewolnikiem ekonomiki. Trzeci zaś pozorny paradoks socjalizmu polega na tym, że on, doktryna kolektywistyczna, w istocie swojej prowadzi do warunków, umożliwiających każdemu najpełniejszy rozwój osobowości ludzkiej — podczas, gdy za mieszczańskimi „indywidualistami” stoi ustrój, skazujący najszerzą masę na wyłącznie biologiczne niemal bytowanie.

Człowiek i powszedniość, Warszawa — 1946.

Hugo Steinhaus

O „INTROWIZORZE”

Znanych jest wiele metod lokalizacji ciała obcych przy pomocy promieni Roentgena. Posiadają one wszystkie jedną lub kilka spośród następujących cech:

1) Operacja wymaga zaciemnienia lub użycia specjalnych aparatów optycznych przez chirurga, które uniemożliwiają normalne widzenie pacjenta (Hasselwander).

2) Operację wykonuje się podczas prześwietlania, przez co chirurg jest narażony na działanie promieni Roentgena (Szkoła wiedeńska).

3) Pozycja ciała obcego wynika pośrednio z obliczeń lub konstrukcji geometrycznych opartych na fotografiach lub obrazach ekranowych (setki metod). Z konstrukcyj lub z prześwietleń otrzymuje się mniej lub więcej automatycznie pozycję wskazówek skierowanych w stronę ciała obcego (ostatnia metoda angielska).

4) Zdejmuje się pacjenta z dwóch lub kilku punktów i chirurg wyznacza intuicyjnie pozycję ciała obcego względem pacjenta patrząc na te zdjęcia (ulubiona metoda).

Wszystkie te metody mają specyficzne wady. Ich cechą wspólną jest to, że nie dają odpowiedzi na pytania „gdzie”.

Właściwą odpowiedzią jest „tu”! a metody opisane wyżej dają tylko liczby, kierunki, nawet obrazy: ale te obrazy są tylko rzutami punktu szukanego z centrum, którego położenie względem tego punktu jest znane tylko w przybliżeniu, ma płaszczyznę też tylko w przybliżeniu określoną.

Gdy na nie patrzymy a potem przeniesiemy wzrok na pacjenta, już nie możemy odpowiedzieć umysłowo na pytanie „gdzie”: nawet stereoskop daje wizję, która znika w chwili patrzenia na pacjenta.

Pomysł „Introwizora” jest prosty. Gdy włożymy perłę do szkatułki i postawimy ją za szybą a następnie ustawimy przed szybą jaskrawą imitację perły symetry-

cznie do prawdziwej, to po zamknięciu szkatułki dalej „widzimy” perłę w szkatułce, jak gdyby jej ściany były przezroczyste.

Miejsce, w którym pojawia się obraz nie zależy od stanowiska obserwatora, efekt optyczny jest dokładnie taki sam, jak przy prawdziwym widzeniu perły w szkatułce.

Przypuśćmy, że znaleźliśmy sposób na ustawienie pacjenta za szybą a paciorka przed szybą symetrycznie do ciała ukrytego w ciele pacjenta: to dałoby nam możliwość operowania w pełnym świetle dziennym a nasze ruchy byłyby kierowane naturalnym widzeniem szukanego przedmiotu, dokładnie tak samo jak się to dzieje, gdy w życiu codziennym chwytamy celnie przedmiot widoczny.

Nasza metoda korzysta z promieni Roentgena, jednak tylko do ustawienia „paciorka”: lampę Roentgena gasi się po ustawieniu. Wymagany efekt optyczny pozostaje i światło dzienne go nie niweczy...

Aparat został wynaleziony przez mnie w lutym 39 roku, jego historia znana jest dokładnie roentgenologom wówczas lwowskim, profesorowi d-rowsi Emilowi Misiewiczowi z Uniwersytetu Łódzkiego i profesorowi d-rowsi Witoldowi Grabowskiemu z Uniwersytetu Wrocławskiego. Oni to pomagali mi przy pierwszych próbach, a dr Bong sam montował pierwsze modele. Model wrocławski został zbudowany z subwencji Min. Zdrowia dzięki poparciu dziekana Grabowskiego (kosztował bez lampy 6000 — sześć tysięcy złotych). Zasada introwizora została opatentowana w Polsce; zgłoszenie miało datę pierwszeństwa 8 marca 1938 r. patent został udzielony. Ponadto zgłosiłem pomysł w Holandii, w Niemczech, we Włoszech, we Francji i w Szwajcarii. Uzyskałem patent włoski i francuski; podczas wojny Niemcy i Szwajcaria uznały nowość wynalazku. Wyjaśnię co do dzisiejszego stanu tych spraw patentowych może udzielić prof. Suchowicki.

WIERKSZE NA KONGRES

Anna Kamieńska

PO WOJNIE

Wielka maszyna udręki Europa splełana z torów.
Noc zapada nad poczekalnią, ciemne piwo chluszcze w bufecie.
Czarny kolejarz depce po głowach opadłych na kamienie.
Napuchły snem rany oczu, chleb na języku zacieżył.
Wydrzeć się z chrapliwego cienia! Zimny wiatr podnosi powieki.
Po peronie sunie papier, kołysze się skorupa od jaj.
Podpierają ciemność semaforey. Jedna noc to mało,
Aby uwierzyć: za chmurami tkwi węzeł losów.
Miejsce ma swój wdziek. Moznaby mieszkać,
Słuchać zabiego płaczu, nauczyć się zgiętego drzewa.
Lecz pogna dalej los spóźniony pociąg.
Ręce podnoszę ku tym, którzy nie wrócą do domów.
Odepchnęły ich jeziorne strony. Przez pień wiśni rodzonej
Przeszyto ostrą granicę, stacyjnej wody nabiorą w butelkę.
Deszcz cieknie po uszach, zorane twarze
Wspierają o kant walizki pierś dziewczyny.
Tak trzeba westchnieniem ojczyznę odrywać od miejsca,
Błąkać się ponad torami tamując pociągom ruchy,
Zadumami skracać nocne w polu przystanki.
Snu rzekę rozścielać po kraju, z którego mosty zdarto
I czekać na odjazd długo długo w mieście wymarłym.
Okiennica stuka, wróbel gnieździ się w jamie na piersi posagu.

Tadeusz Kubiak

WYZNANIE WIARY

To prawda — ocalałem. To prawda — przeżyłem
niejednego z przyjaćiół najpodlejszą śmierć.
Ci w miłości poczęci, zrodzeni z niewiasty,
umęczeni pod znakiem rodzinnego miasta,
pół dziewczyną — pół rybą, od miecza srebrzystą,
zstępowali do piekieł by już nie zmartwychwstać,
by nie sięść po prawicy ani po lewicy,
bo uszarpane ręce miał ich Bóg uliczny
i pomylili strony świata, w chwili śmierci
wirując w żywym ogniu na urwanej pięcie.
Ale przyjdą nas sądzić — żywych czy umarłych.
Jak im w oczy spojrzymy? Łzy zacisną gardło.
Żyjąc wśród kupców chytrych niiby Wenecjanie,
znając nie świętych, ale grzesznych obcowanie,
nie odpuszczając grzechu nawet własnym żonom,
choć to my, a nie one, hańbiliśmy domy,
w dniach nieprawości naszej, my — trujący światło
w żrenicach niewiast naszych, że do głębi zgasło —
nie wierząc w zmartwychwstanie tego, co umarło,
ślepi wiosną, gdy kwiaty rozsadzają ziarno,
którzy uszliśmy cudem z nocy Bartłomieja —
chcielibyśmy znać wiarę, miłość i nadzieję.
Wierzyć w kościół powszechny ludzi dobrych, prostych,
w żywot wieczny idei, w nadejście światłości.
Miłować ptaki, drzewa, wieże miast co smukłość
przydają swoim murom — tak podobne włóczniom.
I kłaść nadzieję w serca tych, co kładąc cegły
nie mogą o płomieniu zapomnieć piekielnym.

Mieczysława Buczkówna

DZIECIOM WOJENNYM

Małe — których oczom zabawka straszna:
samolot, karabin, bomba.
Smutne — powagą dorosłych, gdyż poznały
lęk w oczach ojca, darzone niespokojną pieśczętą.
Ciche — — nawpół nieme od za trudnych słów:
śmierć, obóz, więzienie, wojna.
Blade — bo w śnie wyły alarmy, groźną nocą
uczone modlitwy trwogi i niepokoju rąk,
tulone do ginącego głosu serca matek,
które wiedziały.
Opuszczone w płaczu, umierające w pociągach.
Mali chłopcy — twarz ojca z fotografii
przez łyzy zwierzała zemstą słabe piastki.
Dziewczynki — w przytułkach, domach obcych
głodne, chore na samotność.
Jakże wam mówić bajki
uczone na niedobrej książce?

W OCZACH WOJNY

Raz jeszcze wzywam dni minionej grozy,
przeszłość dziś już niepojęta,
by wolnym wolność przypomnieć
i uczynić większą.
Ile nocy, ile nocy trującej ciemności
więziło nasze ciała.
Kościoły ludzkiego lęku
od ruchomych fundamentów huku
po wieże reflektorów dzwon syren wznosił
i burzył urywanym dźwiękiem.
Sny sięgające do pamięci wypadków,
przeczuć za dnia ukrytych
zdzierają z twarzy przyłbicę odwagi.
Poznaliśmy ból gdy żrenice wypełniał cieniem
i usta zacinał linią niemej skargi,
poznaliśmy strach — gdy za dnia po omacku
szukać trzeba było bezpiecznej drogi.
Poznaliśmy głód — gdy chleba okruchy
wytręcały godność z bezsilnych rąk.
Poznaliśmy gniew, gdy wzbierał w uniesieniu

Anna Kamieńska

PIERWSZY DZIEŃ POKOJU

Naródź się pierwszy dniu złotego sensu. Ptaki i łodzie
otwierają skrzydła. Pełno jest wody. Jeżeli z pragnienia
wszystkie są bóle — pijcie, pijcie, pijcie.
Dziś, gdy liść grochu jest małą doliną,
a ruczaj płynie dnem każdej kotliny.
Gaście pożary — miłość, zemsta, smutek
niech swą gwałtowność topią w dniu pokoju.
Gdy głos sumienia gromki jak klask cepów,
każda muzyka jak świerk — szorstka, prosta
nieośliniona melodii powojem. Stań się dniu chyży.
Zenitalne światło skraca do punktu tęsknoty i cienie.
Wstajemy rano młodzi. Więcej
wspólnych się wstydzić nie będziemy godzin.
Rękami fabryk z chmur zdejmujemy
czarne niebo i dzień się stanie.
Od dziś syna noszę w imieniu na świadka przemiany.
Wy poczekajcie, jego towarzysze, tymczasem
bawiąc się w minut tykocie jak w piaski.
nim elektryczna pora przemian minie.
Wreszcie. Po takim dniu noc nie nastaje.
Nigdy cień tego nie powlecze czoła,
nad którym rozum swą cyfrę zapali.
Oka ślepotą, ucha głuchotą, palca odrętwieniem
nie dotknie dzień, który rozumieć przyjdą
pisarze nowi — oswobodziciele języka
psychiki pełnej szlamu nędz.

Stanisław Pięta

W PODRÓŻY

Myśli moja wierna, o, zamyślenie smutne!
Znowu mijam mój kraj tak znany mi z tworzenia
i dni przeżytych. Pociąg już pędzi, że utnie
drgającą szyję słońca. Ida, rwą wzruszenia,
w piersi od wspomnień, od słów, tchnień nadziei boli.
Oto żyto kwitnące, kopuły grusz zielone,
wsie w podniebnym uniesieniu wierzb i topoli
wiodą cienie krów i dzieci w obłoki strorne.
Gdy widzę złoty kurz, chłopów przy koniach w polu —
gdy widzę pierwsze ślady zorzy nad chatami —
ach, gwizd pociągu, rozmowy podróżnych koła
serce — tak chciałbym wysiąść, zostać z zjawiskami
mijanymi... I nie nie znaczy tu myśl, która
w drwinie twardej ukazuje bezsens marzenia.
— Co się ludzisz! — mówi — gdzie widzisz białe pióra
dymów, ludzie mrą, bo nie znają leczenia.
Komu potrzebny tu jesteś? Ptakom? Jedź, jedź dalej...
Kraju, kraju mój, rozumiem błędzenie moje
i chcę inaczej żyć. Już księżyc wschodzi z fali
zboża, pęka niebo, spływają nocy podwoje...
Chcę kochać ludzi, chcę im pomagać. Na drodze
upadłe, scałuję ślad znów piękna, ślad rosy,
a potem pójde w chaty do tych, co stają w trwodze.
O, oni usną, gdy opowiedzą swe losy.

Seweryn Wyslouch

Wystawa Historyczna Ziem Odzyskanych^{*)}

II. Wiosna Ludów i Odrodzenie Narodowe



Józef Lompa

Rok 1848 w dziejach ludu polskiego Ziem Odzyskanych stanowi datę przełomową. Hasła wolnościowe, jakie niosła na swych sztandarach rewolucja 1848 r., znalazły żywy odzwiek w masach ludu polskiego pod pruskim zaborem.

Masowy udział polskich chłopów i robotników w demonstracjach rewolucyjnych 1848 r. na Śląsku, walka wyborcza o mandaty poselskie dla polskich przedstawicieli do pruskiego Zgromadzenia Narodowego w Berlinie, powstanie prasy polskiej i pierwszych polskich organizacji społecznych i kulturalnych na Śląsku — to fakty zdumiewające nie tylko dla ówczesnych niemieckich władców kraju ale i dla nas, niedostatecznie doceniających dynamizm narodowy polskich mas robotniczych i chłopskich.

Nauka polska bowiem, niemal powszechnie przyjmuje, że o świadomości narodowej ludu polskiego na Śląsku w 1848 r. mówić jest trudno. W postawie mas ludowych widzi raczej elementy społeczne przy bardzo nieznacznym uświadomieniu narodowym. Świadomość narodowa polska — to dopiero dzieło okresu późniejszego, okupionego walką szeregu dziesiątków lat z pruską polityką germanizacyjną drugiej połowy XIX w.

W świetle dokumentów zgrupowanych na Wrocławskiej Wystawie Historycznej problem ten wymaga dokładniejszego zbadania. Walka o język nabożeństw w pocz. XIX w. wskazuje, że masy ludowe doceniały znaczenie mowy polskiej i broniły jej z całym uporem jako swój skarb największy.

Czy solidarność z jaką występuje cała ludność polska w obronie swej mowy, co zgodnie podkreślają raporty pastorów niemieckich, nie dowodzi istnienia poczucia swej odrębności narodowej? Czym wyjaśnić zdecydowaną postawę, z jaką szły ludowe masy polskie do urny wyborczej w 1848 roku, by oddać głosy za swych polskich przedstawicieli? Lub popularność hasła narodowych, wysuwanych w 1848 r. przez Lompe, ks. Szafranka, Oszeldę, Minkusa i innych?

Lecz wróćmy do Wrocławskiej Wystawy Historycznej. Na szerokim tle ruchów wolnościowych 1848 r. w Europie zgromadzone szereg dokumentów, świadczących o żywym oddźwięku tych hasel wśród ludu śląskiego.

Rzecz zrozumiała. Pruska ustawa uwłaszczeniowa dotknęła ciężko chłopów śląskich, powodując nędzę wśród ludu. Oceńając wyniki akcji uwłaszczeniowej, memoriał duchowieństwa z 1848 r. wyraźnie stwierdzał: „zrujnowano dobrobyt całych wsi całkowicie i chłop na gospodarstwie swym ubogim... z trudem utrzymuje biedne życie. Chłop jest zmuszony do pracowania jedynie dla królewskich podatków, dla ciężarów komunalnych, dla opłat kościelnych i dominialnych. Dominia wzięły sobie niemal wszędzie najlepszą ziemię i zaokrągliły i powiększyły swoje folwarki, a także założyły wiele nowych folwarków“.

Jak stwierdza prof. Inglot przy uwłaszczeniu w pierw. połowie XIX w. oddali chłopci na Górn. Śląsku folwarkom 101 tys. morgów pruskich swoich gruntów, zatrzymując 169 tys. i uwalniając od serwitutów 629 tys. morgów lasów pańskich. Po regulacji zostało w posiadaniu chłopów nie-

wiele ponad połowę dawniej trzymanych gruntów, a do tego silnie obdłużonych. Oczywiście że stan ten wywoływał silne poczucie krzywdy i niezadowolenia.

W latach 1846 — 1848 panowały na Górnym Śląsku według świadectw ówczesnych „głód, zaraza i rozpacz“. Na skutek kłęski nieurodzaju nastąpił wielki głód i drożyzna. Pojawił się wreszcie tyfus głodowy, który w ciągu dwóch lat pochłonął na Śląsku około 50.000 ludzi. W dużej mierze tym się tłumaczy masowy udział chłopów śląskich w rozruchach agrarnych.

Rzecznikami rewolucyjnych nastrojów mas ludowych na Śląsku byli przede wszystkim: poseł do Zgromadzenia Narodowego we Frankfurcie Krystian Minkus i przywódca chłopów cieszyńskich Paweł Oszelda.

Wyborcy powiatów kluczborskiego i oleśkiego, oddając swe głosy na chłopskiego woźnicę Minkusa zobowiązali go równocześnie do walki między innymi o: 1. zniesienie ciężarów feudalnych, sądownictwa matrymonialnego, 2. wybór starostów przez ludność i usunięcie złych urzędników, 3. oddanie chłopom nieprawnie zabranej ziemi przez panów, i wreszcie 4. zatrudnienie na Górnym Śląsku tylko takich urzędników, którzy umieją mówić po polsku.

W żądaniach tych streszczały się dążenia społeczno-narodowe mas ludowych Śląska.

Postać Krystiana Minkusa poznajemy dokładnie z jego listów do wyborców. Trybun ludu śląskiego wzywał do wytrwania w walce gdyż: „nie mamy żadnych powodów do obawy, bo stoimy na gruncie prawa, a ciemiężcy, tyrani, stoją na gruncie niesprawiedliwości — oni nie śmiają już więcej przeciwko nam wystąpić, chociaż jesteśmy bezbroni, bo naszą podporą jest Bóg i jego moc i sprawiedliwość i on nam pomoże...“

W innym znów liście groził: „że wszystkich panów musi się wypędzić i pozabijać, że wszyscy muszą seceznąć.“ W walce zaś nie cofać się: „gminy mają się trzymać razem, nie bać się, iść śmiało naprzód, gdyż tyrani i obszarnicy muszą zginąć, a tyranstwo ustać“.

Inny znów z przedstawicieli przywódców chłopów 1848 r. Paweł Oszelda, skazany na 4 lata więzienia za działalność rewolucyjną, w tych lapidarnych słowach zamknął swój program społeczno-narodowy: „wolność i równość dla wszystkich! Wolnym oddał nie tylko jest pan, ale i chłop, nie tylko Niemiec, ale i Polak.“

Krystian Minkus i Paweł Oszelda to przedstawiciele skrajnego radykalizmu mas ludowych Śląska 1848 r. W wypowiedziach ich na plan pierwszy wysuwają się hasła społeczne — walka z obszarnikami i kapitalistami o sprawiedliwość społeczną, o prawa ciemiężonego ludu śląskiego. Nie brak tu również i akcentów narodowych, zwłaszcza, kiedy idzie o język polski i równoprawienie Polaka.

Nie byli oni jednak jedynymi przedstawicielami ludu śląskiego w pamiętnym roku Wiosny Ludów.

Rewolucja marcowa 1848 r. zmusiła króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV do znacznych ustępstw na rzecz ludu, a przede wszystkim do zwołania parlamentu celem uchwalenia postępowej konstytucji. W związku z tym w dniach 8 — 10 maja 1848 r. dokonano wyborów na posłów do Pruskiego Zgromadzenia Narodowego w Berlinie.

Dały one wynik dla Niemców zgoła nieoczekiwany: z powiatów polskich Śląska wybrano samych Polaków z ks. Józefem Szafrankiem, proboszczem bytomskim na czele. Ziemiańscy Niemcy przepadli przy wyborach, natomiast wybrano polskich chłopów, rzemieślników i drobnych kupców.

Na czoło polskiej delegacji parlamentarnej wysunął się ks. Józef Szafranek, który swymi wystąpieniami w Pruskim Zgromadzeniu Narodowym wywoływał burze wśród niemieckiej prawicy. Nie obeszło się nawet bez kar kościelnych, skoro został zasuspensowany przez biskupa wrocławskiego.

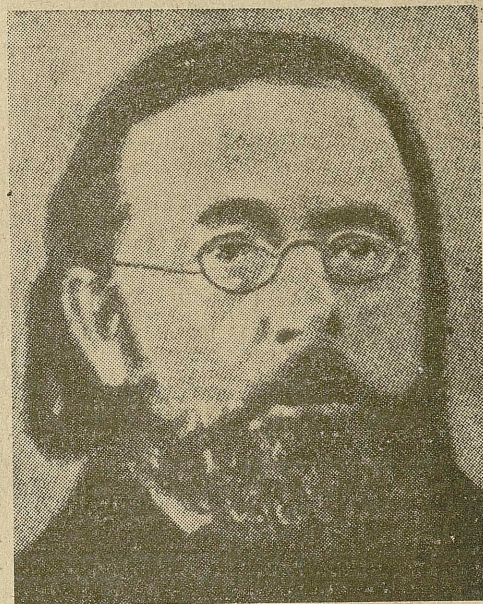
Spośród wniosków składanych przez ks. Szafranka znaczenie historyczne ma Deklaracja z dnia 21 lipca 1848 r.

Opierając się na uchwale Zgromadzenia Narodowego we Frankfurcie że „wszystkie narody na ziemiach Związku Niemieckiego mają mieć zupełną swobodę narodowego rozwoju i zażywać równoprawienia w kościele, szkolnictwie, literaturze, administracji wewnętrznej i sądownictwie“ ks. Szafranek żądał dla Śląska pełnego równoprawienia Polaków, równych praw dla języka polskiego w szkole, w sądach i urzędach, udzielania nauki w języku polskim w tych powiatach lub miastach, w których język polski przeważa, w miejscowościach zaś dwujęzycznych zaprowadzenia obok języka niemieckiego również języka polskiego; mianowania tamże wyłącznie takich urzędników, którzy biegle władają językiem polskim, wreszcie w celu wyszkolenia odpowiedniej ilości urzędników dwujęzycznych należy w szkołach średnich, seminarjach nauczycielskich oraz uniwersytecie wrocławskim zaprowadzić przymus nauki języka polskiego, należy otworzyć seminaria nauczycielskie tylko polskie oraz rozszerzyć seminarium filologiczne uniwersytetu wrocławskiego.

Wniosek ks. Szafranka został odroczony, ponieważ niemiecka większość parlamentu nie chciała dopuścić do obrad nad nim. Wówczas to działacze polscy ze Śląska przygotowali ponowną petycję w tej sprawie, pod którą zebrano 2.500 podpisów z 200 gmin, reprezentujących wolę półmilionowej ludności polskiej Śląska.

Jak widzimy słowa ks. Szafranka „marczyńska mowa jest kluczem do wszelakiego moralnego i politycznego wychowania ludu“ wypowiedziane w sejmie pruskim, stały się hasłem dla całej ludności polskiej Śląska.

Nie tylko jednak trybuna parlamentarnej była widownią walki o prawa ludu polskiego pod zaborem pruskim. Rok 1848 to data narodzin prasy polskiej na Śląsku. W



Paweł Stalmach

dnia 6 maja 1848 r. wyszedł pierwszy numer „Tygodnika Cieszyńskiego“ [później „Gwiazdki Cieszyńskiej“] czołowej pozycji polskiego czasopiśmiennictwa na Śląsku pod redakcją niezmordowanego Pawła Stalmacha. W czerwcu 1848 r. powstaje w Bytomiu „Dziennik Górnośląski“, który skupia działaczy ruchu odrodzeniowego na Śląsku z Józefem Lompą na czele.

Ci dwaj pisarze odegrali olbrzymią rolę w pierwszej fazie budzenia się świadomości narodowej ludu śląskiego.

„My włościanie Ślązacy z Górnego Śląska, zamieszkując od wieków te ziemie, sądzimy się sami być prawymi jej dziedzicami, a zatem żądamy, aby narodowość naszą przyznaną nam była a równie jak i niemiecka prawa mieć mogła, tj. żądamy, aby po szkołach naszych uczono tylko po polsku, a język niemiecki ma być tylko jako inne np. francuski, traktowany. Niech też w szkołach naszych uczą, jak to przed laty działo się na ziemi naszej, tj. dziejów Polski. Niech ksiądz, nauczyciel i urzędnik mówią i piszą do nas po polsku, a też wszystkie sprawy w urzędach po polsku mają być trzymane, bo my po niemiecku nie rozumiemy.“ (Dziennik Górnośląski 23 września 1848 r.).

Tak pisał Józef Lompa z miasteczka Olesna, pisarz i pomocnik organisty, nauczyciel w pamiętnym roku Wiosny Ludów.

Słowa zaś te głęboko zapadły w dusze śląskiego ludu, który opuszczony przez wszystkich, spowiewany, doprowadzony do nędzy materialnej i moralnej przez niemieckich obszarników i kapitalistów twarzą bronił swej polskości w oczekiwaniu lepszego jutra.

Niestety, rok 1848 nie miał jeszcze przynieść owego lepszego jutra.

Po wielkich nadziejach nadeszły gorzkie rozczarowania. Reakcja wzięła górę. Poprzestano na rzuceniu ludom drobnych koncesji.

Władze pruskie nie zapomniały o przywódcach polskich z 1848 r. Mściły się na nich, jako na budzicieli świadomości narodowej ludu śląskiego. Zamarała na pewien czas prasa polska na Śląsku.

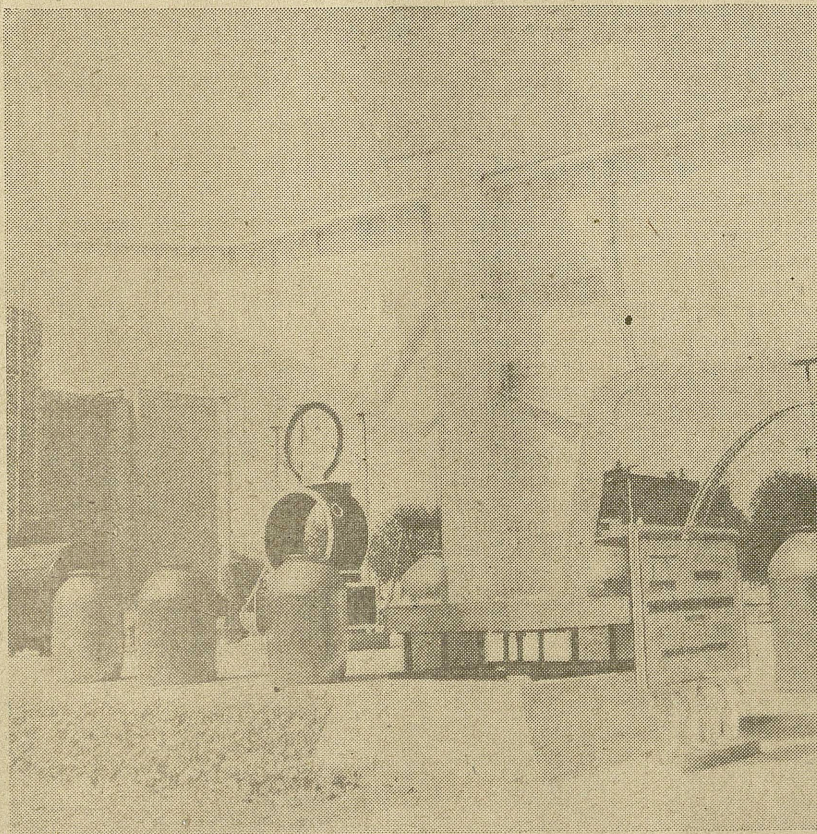
Niemniej ziarna zostały rzucone.

(c. d. n.)

W OSTATNIM NUMERZE 32-33 (161-162)

z dnia 8-15 sierpnia 1948 r.

Seweryn Wyslouch — Wystawa Historyczna Ziem Odzyskanych; Ludwik Bazyłow — Przed Zjazdem Historyków we Wrocławiu; Leonard Sobierajski — Z Wystawy Wrocławskiej — o reportażu; Zofia Nalkowska — Ze „Zwierzeń“; Tadeusz Drewnowski — Po Kongresie ZAMP; Anna Kamińska — „Inteligent chłopski“ — bez dogmatu! Jerzy Ziomek — Poeci śląscy; Jan Pierzchała — Wyznanie; Elżbieta Milanczówna — Nad Narwią; Tadeusz Urgacz — Czarny Bob z U. S. Army; Rok 1950; Władysław Strzeżmiński — Obraz Łodzi kapitalistycznej; Adolf Olechnowicz — Oto wieś!; Tadeusz Rokitniak — Z notatnika wakacyjnego; Jerzy Fałenciak — Rezerwat; Maciej Koliba — Nowe krajoznawstwo; Władysław Blachut — Z szlachty polską polski lud; Fakty i zdania, Komunikaty, 21 ilustracji, 12 stron.



Z wystawy Ziem Odzyskanych

^{*)} Patrz: część I, „Wieś“ nr 32-33 (161-162).

Wincenty Styś

Zagadnienia mechanizacji rolnictwa

(artykuł dyskusyjny)

UMIESZCZONE poniżej rozważania opierają się na założeniu, że kraj nasz wszedł w fazę rewolucji przemysłowej, w następstwie której w okresie krótszym od życia jednej generacji z kraju rolniczego stanie się przemysłowym.

Jeżeli zmieni się struktura naszego kraju, to zmieni się także jego struktura zawodowa. Już trzyletni plan odbudowy gospodarczej zapowiada zmniejszenie się ludności rolniczej w cyfrach absolutnych. Mianowicie ludność rolnicza i nierolnicza ma wynosić w tysiącach:

	1946	1947	1948	1949
ludność rolnicza czynna i bierna	12.680	12.240	12.110	12.020
ludność poza rolnictwem	10.620	10.660	10.890	11.080
razem	23.300	22.900	23.000	23.100

W tym samym czasie ludność zawodowo czynna w rolnictwie w wieku 15—59 lat ma spaść z 7.440.000 do 7.060.000 głów. A przecież trzyletni plan odbudowy jest tylko pierwszym krokiem na szlaku uprzemysłowienia. W ślad za nim pójść dalsze kroki prawdopodobnie jeszcze szybsze. Toteż można uważać za pewnik, że cyfra ludności rolniczej tak czynnej jak i biernej będzie się stale zmniejszała, podobnie jak to miało miejsce we wszystkich krajach, które przechodziły lub przechodzą przez okres industrializacji. Kurczyć się zatem będzie podaż rąk roboczych w rolnictwie.

Według głośnego przed wojną obliczenia J. Poniatowskiego¹⁾ było w Polsce w dniu 1 stycznia 1937 r. 8,8 milionów nadmiaru ludności rolniczej. Opierając się na tym obliczeniu oraz nie rozróżniając między przeludnieniem wsi, a nadmiarem rąk roboczych, niektórzy uważają, że Polska posiada niewyczerpalny w praktyce rezerwuuar sił ludzkich w swym rolnictwie. Wobec tego jednak, że przeludnienie wsi spowodowało daleko idące rozdrobnienie gospodarstw i pociągnęło za sobą olbrzymie marnotrawstwo pracy wskutek wadliwości form organizacyjnych produkcji, faktyczne bezrobocie w rolnictwie było daleko mniejsze. Landau, Pański i Strzelecki²⁾ szacowali je na dzień 1 stycznia 1935 r. na 2.400.000 głów, z czego na województwa centralne przypadało 900, na południowe 800, na wschodnie 500, na zachodnie 200 tysięcy osób. Nie sposób dokładnie obliczyć, ilu z tych „bezrobotnych” należało do mniejszości narodowych: ukraińskiej, białoruskiej, żydowskiej, niemieckiej i czeskiej, których nie mamy już w obecnych naszych granicach. Gdybyśmy stanęli na stanowisku, że procent rdzennych Polaków był wśród bezrobotnych taki sam, jak procent ludności rzymsko-katolickiej na wsi (65,1 proc.), otrzymalibyśmy dla r. 1935 cyfrę 1.562.000 osób, która to liczba do wybuchu wojny zapewne wzrosła, co najmniej do 1.600.000 głów. Co się stało potem? Działania wojenne, wyjazd setek tysięcy chłopów do Niemiec na roboty, tufaczka emigracyjna po różnych krajach i częściach świata, oraz masowe rzezie organizowane przez terrorystów ukraińskich musiały pokazać zredukować liczbę bezrobotnych chłopów. Ale jeszcze silniej oddziaływała w tym samym kierunku emigracja ze wsi do miast, wyludnionych wskutek wytopienia ludności żydowskiej przez zbirów hitlerowskich. Ze znacznie zmniejszoną już cyfrą bezrobotnych wiejskich przystąpiliśmy do wykonywania reformy rolnej. Rozbijając wielkie obszary folwarczne na setki tysięcy drobnych jednostek, zwiększyliśmy zapotrzebowanie rąk roboczych w rolnictwie, redukując niewątpliwie jeszcze bardziej bezrobocie na wsi. Resztę dokonała akcja osadnicza na Ziemiach Odzyskanych i postępująca odbudowa przemysłu.

Czy mamy jeszcze bezrobocie na wsi? Rzecz to wątpliwa. Mamy z pewnością w dalszym ciągu nadmiar ludności wiejskiej w tym sensie, w jakim obliczał go Poniatowski, tj. z punktu widzenia pewnej optymalnej struktury i odpowiadającej jej optymalnej gęstości zawodowo czynnych na 100 ha użytków rolnych. Ale przy tym ustroju rolnym, jaki posiadamy, bezrobocie w rolnictwie zostało zdaje się całkowicie rozładowane lub jest bliskie rozładowania. A przecież brakuje nam w rolnictwie Ziemi Odzyskanych jeszcze około miliona ludzi, których mamy z przeludnionych południowych obszarów państwa wyciągnąć. Zapowiadane i oczekiwane przesuwanie mas ludzkich z rolnictwa do innych zawodów może wobec tego wywołać brak rąk roboczych na wsi.

W tym stanie rzeczy już obecnie warto zastanawiać się nad tym, w jaki sposób należy organizować nasze rolnictwo, by mogło ono wykonać swe zadania przy pomocy zmniejszonej liczby pracowników. Oczywiście raz wkroczywszy na drogę racjonalizacji nie będziemy się na niej zatrzymywać, lecz dążyć będziemy do maksymalnego efektu. Gdyby wzrostowi nakładu pracy w rolnictwie towarzyszył równoległy wzrost produkcji, ubytek siły roboczej mógłby być groźny. Tymczasem tak nie jest, ze względu na bardzo silne w

Obywatelu Redaktorze!

W ostatnim numerze kwartalnika „Ekonomista” ukazał się mój artykuł pod tytułem: „Zagadnienia mechanizacji rolnictwa”, zawierający moją koncepcję ustrojową, na której się opiera doświadczalna wieś „Wilczkowice” w powiecie wrocławskim. Ponieważ koncepcja ta jest krzyżową kłaniną elementów kolektywnych i indywidualistycznych, może ona wywołać wśród czytelników duże zainteresowanie. Swego czasu wprowadziła niemal w zdumienie brytyjskiego ministra odbudowy Silkina.

Gdy wydrukujecie artykuł u siebie oddacie tym przysługę sprawie, gdyż trzeba, by większa liczba osób zapoznała się z koncepcją i ją ewentualnie przedyskutowała, a tymczasem „Ekonomista” dociera do rąk zaledwie kilkuset osób, z których tylko garstka zajmuje się problemami rolnictwa.

Wyrażam nadzieję, że Redaktor Król zechce mnie zapewne zaatakować, ja Mu odpowiem i będzie sprawa puszczona w ruch dyskusyjny. Dodam jeszcze, że przyjęcie mej koncepcji uważałbym za idealne stadium wstępne do uspołecznienia produkcyjnego wsi.

Łączę wyrazy poważania

Wincenty Styś
Świeradów — Zdrój
Sanatorium ZUSU „Chorzowianka” 15. 8. 48.

rolnictwie oddziaływanie prawa zmniejszającego się przychodu. Przy danym poziomie wiedzy rolniczej prawo to wyznacza dla każdej rośliny granicę maksymalnego wzrostu i owocowania, a przez to ogranicza wydajność zasianej nią powierzchni. Jeżeli granica wydajności ziemi jest nam w ten sposób dana przez przyrodę, to ludzie zrobią najwięcej, jeżeli będą się starali uzyskać to, co jest do uzyskania możliwe najmniejszym wysiłkiem, tj. przez zastosowanie tylko takiej ilości pracy, jaka do osiągnięcia danego celu jest niezbędnie potrzebna. Wypływa stąd postulat redukcji ludności rolniczej do koniecznego minimum.

Stany Zjednoczone zatrudniają w rolnictwie mniej niż 20 proc. swęj zawodowo czynnej ludności, a jednak nie tylko nie brakuje im ziemiopłodów, lecz wprost przeciwnie, posiadają ogromne ich nadwyżki na wywóz. Niskie procenty ludności rolniczej mają także inne przodujące pod względem zamożności narody.

W czasach wielkiej depresji ekonomicznej lat 1929—36 niektórzy nasi ekonomiści podziwiali „pracochłonność” drobnych gospodarstw rolnych, stwierdzając z zadowoleniem, że dzięki nim problem bezrobocia nie jest w Polsce zbyt ciężki. Nie dostrzegali oni, że idąc dalej po linii ich rozumowania łatwo można by dojść do wniosku, iż najlepszym sposobem zlikwidowania bezrobocia byłby nawrót do drewnianego pługa i innych prymitywnych narzędzi, gdyż podniosłoby to znacznie „pracochłonność”.

Jeżeli tego rodzaju stanowisko zasługiwało już wówczas na krytykę, to tym bardziej musimy się go wystrzegać obecnie w zmiennej gruntu sytuacji. Wytęcza nasze postępowanie musi być teza Smitha, wedle której potrzeby odczuwane przez ogół obywateli tym lepiej będą mogły być zaspokojone im bardziej celowo zastosowaną będzie praca, którą naród dysponuje. W świetle tej tezy kierowanie dwu ludzi do zadania, które zupełnie dobrze i łatwo mógłby wykonać je-

den, jest szkodliwe. Stwarza ono pozory zatrudnienia, lecz będzie to zatrudnienie nieproduktywne. Praca ludzka jest najcenniejszym środkiem produkcji. Dlatego naród, który ją marnotrawi, nie może osiągnąć dobrobytu.

W jaki sposób możemy zredukować ilość pracy zastosowanej w rolnictwie, bez równoczesnego obniżenia ilości i jakości produktów? Najważniejszym środkiem do tego celu jest zastępowanie pracy ludzi pracą maszyn. Wszystkie kraje o niskim odsetku ludności rolniczej są bardzo zaawansowane pod względem mechanizacji swej produkcji rolnej.

Jednym z podstawowych warunków mechanizacji jest odpowiednia struktura rolnej.

Wieś złączona z mnóstwem drobnych i do tego jeszcze położonych w szachownicy gospodarstw nie może i nie będzie mogła nigdy zrobić z maszyn właściwego użytku. Ekonomicznie bowiem można je zastosować tylko na wielkich powierzchniach, przeznaczonych pod uprawę jednorodnych roślin.

Z trzech powodów małe gospodarstwa nie nadają się do zastosowania maszyn. Pierwszy z nich można by nazwać finansowym, drugi technicznym, trzeci społecznym.

Trudność finansowa polega na tym, że gospodarstwa małe mają szczupłą produkcję. Gdyby chciały posiadać pełne wyposażenie techniczne, koszty stałe (amortyzacja i oprocentowanie kapitału tkwiącego w maszynach) obciążałoby w nich tak silnie jednostkę produktu, że kosztowałaby ona gospodarza więcej, niż może za nią uzyskać na rynku. Musiałby on więc do każdego centnara zboża dokładać i poszedłby wnet z torbami. Dlatego woli poprzestać na skromnym wyposażeniu technicznym. Ponieważ jednak zastępuje on kapitał pracą w stopniu większym, niż to odpowiada optymalnemu stosunkowi wynikającemu z cen obu tych czynników produkcji, koszty jego są większe niż koszty gospodarstw, które dzięki swym optymalnym rozmiarom mogły sobie pozwolić na pełne wyposażenie w maszyny.

Gdyby trudność finansowa była jedyną przeszkodą w stosowaniu maszyn przez małe gospodarstwa, łatwo można by ją usunąć, tworząc spółdzielnię maszynową, obsługującą większą ilość drobnych gospodarstw. Zniwiaraka — wiązanka o zdolności żniwnej 200 ha w ciągu miesiąca jest z pewnością nieopłacalna w gospodarstwie o powierzchni 5, czy nawet 10 ha. Natomiast może się opłacić, jeżeli będzie obsługiwać kilkadziesiąt takich gospodarstw, mających razem powierzchnię około 200 ha zbóż do żęcia.

Ale trudność finansowa nie jest jedyną. Przylączy się do niej trudność techniczna, w istocie rzeczy jeszcze gorsza. Mianowicie gospodarstwa drobne mają tak małe powierzchnie pod poszczególnymi kulturami, że stosowanie maszyn przy ich uprawie staje się często niemożliwością. Gospodarstwo o obszarze 10 ha, nawet całkowicie skomasygowane, przy 7-letnim płodozmianie i kilkunastu kulturach ma poletka o powierzchni co najwyżej 1,5 ha. Na tak małym polu nie sposób jest ekonomicznie stosować maszyny. Dotyczy to zwłaszcza traktora. Orka nim będzie utrudniona przez konieczność ciągłych nawrotów, w czasie których maszyna idzie na małym biegu, tracąc szybkość, zużywając więcej paliwa i prędzej się amortyzując, podczas gdy jej praca jest jakościowo gorsza, wskutek działania siły odśrodkowej. Kto chce poznać wagę tego argumentu, ten niech przyjrzy się, jak pięknie pracuje traktor posuwając się w linii prostej i jakie trudności ma on do zwalczania przy nawrotach. Im krótsze i weźsze pole, tym większy procent strat wywołanych nawrotami. Zdając sobie z tego sprawę niektórzy ekonomiści agrarni i znawcy mechaniki rolnej, rzucają hasło: „Wyprodukujmy traktor mały i tak obrotowy, by mógł się poruszać swobodnie na najmniejszych nawet polach”. Nie ulega wątpliwości, że traktor taki da się skonstruować i że będzie on maszyną pożyteczną, gdyż niezależnie od sposobu, w jaki zorganizujemy nasze rolnictwo, zawsze znajdą się możliwości jego zastosowania, czy to na jakichś z natury małych polach, czy do poruszania maszyn stosunkowo lekkich, nie wymagających zatem wielkiej siły pociągowej.

Lecz chociaż mały ciągnik ma obok wielkiego miejsce zapewnione, nie wydaje się możliwe, by mógł on objąć wszystkie zadania i stać się podstawową maszyną naszego rolnictwa.

Za wielkim, silnym traktorem jako narzędziem orki przemawiają następujące względy:

1) Mając silniejszą konstrukcję łatwiej wytrzymuje on wstrząsy towarzyszące pracy. Przy równie solidnym wykonaniu i równie starannej obsłudze dłużej trwa i rzadziej się psuje.

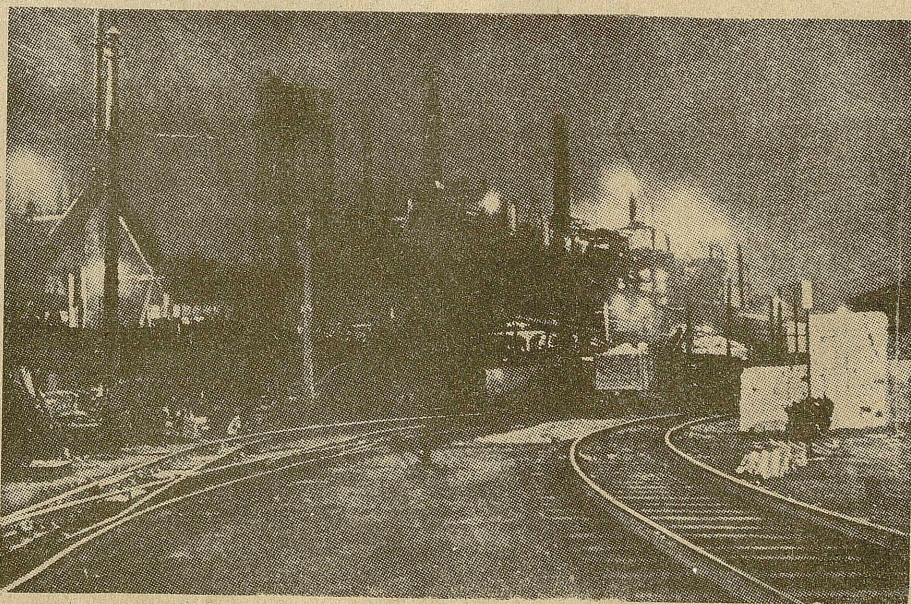
2) Ma w stosunku do swej siły mniejszą wagę i wymaga mniejszego zużycia stali, smarów i paliwa na 1 H. P.

3) Przy takiej samej ilości pracy ludzkiej wykonuje w jednostce czasu znacznie większe zadania. Ciągnąc plug o 4 — 5 korpusach szybciej orze, poruszając na szosie 2 — 3 przyczepki zamiast jednej, szybciej przewozi towary. — Korzyść ta ma tym większe znaczenie, im mniejsza jest podaż wykwalifikowanych traktorzystów.

4) Wobec dłuższej trwałości i większej wydajności, a wskutek tego mniejszej ilości silnych traktorów, mniejsza jest ilość remontów i mniejsze zapotrzebowanie na warsztaty.



Wieś na Nizinie Śląskiej



Huta Julia w Bobru k/Bytomia

¹⁾ Poniatowski: „Przeludnienie wsi i rolnictwa” str. 58, Tenże: „Rozmiary przeludnienia rolnictwa w świetle krytyki”. „Rolnictwo” VIII, tom IV, zesz. 2.

²⁾ Instytut Gospodarstwa Społecznego: „Bezrobocie wśród chłopów” str. 247.

ty mechaniczne. Jest to szczególnie ważne w kraju mającym mało obrabiarek i mało wykwalifikowanych mechaników.

5) Dotychczasowa historia maszyn poucza, że we wszystkich prawie działach produkcji budowano stopniowo coraz większe, coraz silniejsze, a przez to coraz wydajniejsze typy. Jeśli chodzi o trakcję, tendencja ta jest szczególnie silna. Używamy coraz większych okrętów, lokomotyw, aut ciężarowych, samolotów itp. Nie ma powodów, dla których traktor miałby pod tym względem stanowić wyjątek. Podobnie jak koń ciężki wyparł lekkiego z rolnictwa najbardziej zaawansowanych gospodarczo krajów, tak silny traktor odniesie zwycięstwo nad małym, choć obrotowym.

Uwagi wypowiedziane o traktorze odnoszą się w znacznym stopniu do innych maszyn. Większe młockarnie, siewniki, kultywatory, opielacze i żniwiarki wydajniejsze są od mniejszych. Oczywiście nie powinno się pod tym względem popełniać przesady i żądać np. pług zdolnego orać 100 skib od razu. Jak w każdej innej dziedzinie, tak i tu istnieje pewne optimum, którego bez strat ekonomicznych nie można przekroczyć. Jest wątpliwe, by przy obecnym stanie techniki można było w sposób ekonomiczny używać pługów o więcej jak 6 korpusach. Być może optimum leży nawet nieco niżej, gdzieś przy 4 korpusach. Zdolny do poruszania takiego pługą i bron doń przywiązanych traktor byłby może najlepszym traktorem. Ale należyte, wykorzystanie takiego zespołu wymaga stosowania go na polach mających przynajmniej kilkanaście hektarów powierzchni. Jak to osiągnąć w kraju o strukturze rolnej opartej

na drobnych i z reguły w szachownicy leżących gospodarstwach?

Trudności techniczne związane z zastosowaniem wielkich maszyn w małych gospodarstwach nie na tym się kończą. Posiadane spółdzielczo maszyn musiałyby być w ciągu dnia nieraz 2-3 razy przerzucane z jednego pola na drugie. Tu pracę po kilku godzinach skończono, tam trzeba ją zaczynać. Nie zawsze da się przejechać bezpośrednio z pola na pole. Nieraz trzeba wrócić aż do wsi, by przy pomocy wychodzącej z niej innej drogi polnej można było osiągnąć drugie pole, na którym z kolei maszyna ma pracować. Wywołuje to oczywiście stratę cennego czasu i podnosi koszty.

Ostatnia wreszcie trudność jest społecznej natury. Jeżeli jedna spółdzielcza maszyna obsłużyć ma kilkadziesiąt drobnych gospodarstw, to od razu powstaje kwestia, które spośród nich ma obsłużyć naipierw. Czas posiada w rolnictwie, wobec zmienności warunków atmosferycznych, ogromne znaczenie. To też na tej trudności załamują się powszechnie spółdzielnie maszynowe. Członkowie zarządu mają skłonność kierować maszyną przede wszystkim na swoje pola, co wywołuje protesty innych członków. Nim spółdzielnia rozwinie się na większą skalę, już się rozpada i zanika.

Mając w pamięci to, co wyżej było powiedziane, możemy teraz rozstrzygnąć zagadnienie, co należy czynić: czy przystosowywać maszyny do istniejącego ustroju rolnego, czy na odwrót ustrój nagiąć do wymogów nowoczesnej techniki. Wysoko ceniąc dążenia do skonstruowania maszyn o wszechstronnej użyteczności, musimy jednak szukać możli-

wości takich modyfikacji ustroju, które by ułatwiły mechanizację.

Jakiej natury miałyby być te modyfikacje? Dotychczasowa historia gospodarcza daje nam dwa przykłady radykalnej przebudowy ustroju rolnego w państwach, które przechodziły przez proces szybkiej industrializacji.

Pierwszy przykład to „enclosure movement” w Anglii w latach 1779-1825. W okresie tym kraj ten przeżył nie tylko „rewolucję przemysłową”, lecz także prawdziwą rewolucję agrarną, w toku której jego ustrój rolny, nie różniący się poprzednio od ustroju innych krajów Europy Zachodniej, uległ gruntownemu przeobrażeniu. Warstwa chłopstwa, która od wieków trzymała ziemię placąc za nią czynsze lordom duchownym i świeckim, została drogą „ogrodzeń” (enclosure) pozbawiona ziemi i zanikła. Część chłopów poszła do miast, by pracować tam w przemyśle i handlu, część wyemigrowała do kolonii, reszta spadła do rzędu robotników rolnych. Tylko najzamożniejszym udało się przejść do klasy kapitalistycznych farmerów, którzy gospodarowali na utworzonych w toku omawianej reformy dużych kilkusetmorgowych farmach.

Pogrom chłopstwa w W. Brytanii był tak kompletny, że te bardzo nieliczne wioski, które przypadkowo uszły komasacji i dzięki temu zachowały do dzisiaj swych chłopskich rolników, są obecnie jako osobliwość celem wycieczek turystycznych, a domy i urządzenia ich podlegają opiece specjalnej komisji dla ochrony zabytków kulturalnych. Omawiana reforma nie była rezultatem planowej akcji prowadzonej przez państwo, lecz wynikiem dążenia klasy właścicieli ziemskich do

zwiększenia swych korzyści gospodarczych przez podwyżkę renty gruntowej. Tym nie mniej przyspieszyła ona bardzo rozwój przemysłu w Anglii, zwalniając z rolnictwa wielką ilość siły roboczej i umożliwiając skierowanie jej do przemysłu. Jest rzeczą jasną, że wzór angielski jest dla nas całkowicie niemożliwy do naśladowania, gdyż warunki ekonomiczne, socjalne i polityczne są u nas całkiem inne.

Drugi przykład radykalnej przebudowy ustroju rolnego to kolektywizacja w Związku Radzieckim. W przeciwieństwie do pierwszego przykładu była to akcja planowa, mająca na celu nie tylko redukcję siły roboczej czynnej na odcinku rolnictwa, lecz także obrócenie lwiej części nadwyżek finansowych osiąganych w rolnictwie na rzecz przeprowadzania forsownie uprzemysłowienia. Zdaje się przedwcześnie byłoby wypowiadać ostateczny sąd o kolechozie. Przechodził on pewne trudności w swym początkowym stadium. Są one w Polsce znane i stanowią nieraz przedmiot dyskusji. Mniej natomiast mówi się o jego stronach dodatnich. Mało kto np. zdaje sobie sprawę z tego, że gdyby nie kolektywizacja rolnictwa, tempo rozwoju przemysłu radzieckiego byłoby znacznie wolniejsze, a w takim razie historia świata wzięłaby prawdopodobnie inny obrót. W szczególności, gdyby nie kolechozy nie byłoby traktorów, a w konsekwencji także nie byłoby tych licznych i olbrzymich ich wytwórni, które, produkując masowo doskonałe czołgi podczas wojny, walczyły przyczyniły się do unicestwienia hitlerowskiej próby ujarznienia świata.

Wincenty Styś
C. d. n.

Stanisław Cieślak

PLANY REGIONALNE (II)*

4. POTRZEBNA INICJATYWA TERENU

Kształtować całość procesów gospodarczych, czyli prowadzić gospodarkę planową można tylko z jednego ośrodka dyspozycji. Stąd czy to na odcinku spółdzielni, czy to na odcinku gospodarki samorządowej, czy wreszcie na terenie gospodarki prywatnej w ramach gospodarki planowej nie ma mowy o jakiejś innej polityce gospodarczej niezgodnej z ogólnymi wytycznymi planu. Dlatego też plan gospodarczy państwa nie może być sumą mechaniczną autonomicznych planów: przemysłu państwowego, spółdzielczości, gospodarki prywatnej itd., ani sumą autonomicznych planów regionalnych.

Państwowy plan gospodarczy musi być przenikliwy, jedną i tą samą myślą, we wszystkich dziedzinach, musi być organiczną całością.

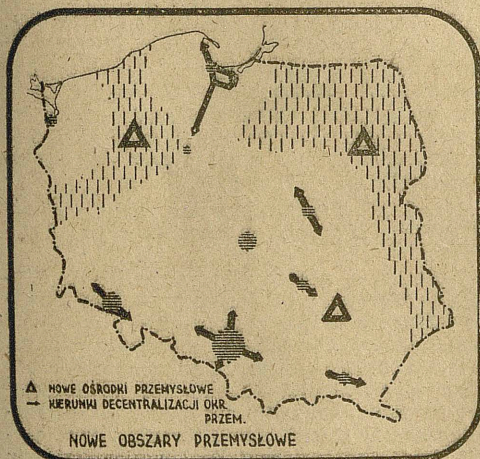
Ala jednosc planu gospodarczego nie oznacza wcale, że każda inwestycja musi być planowana centralnie w Warszawie. Przeciwnie, kanonem gospodarki planowej w państwie demokratycznym jest, że musi on być związany z potrzebami mas pracujących. Szeroka inicjatywa terenu, czy to poszczególnego zakładu przemysłowego, czy poszczególnego chłopca, czy spółdzielni lub Powiatowej czy Gminnej Rady Narodowej jest elementem koniecznym planu gospodarczego.

Bez tej szeroko pojętej inicjatywy gospodarczej mas pracujących plan gospodarczy stałby się bezduszną, niezrozumiałą dla szerokiego ogółu, sumą cyfr i paragrafów.

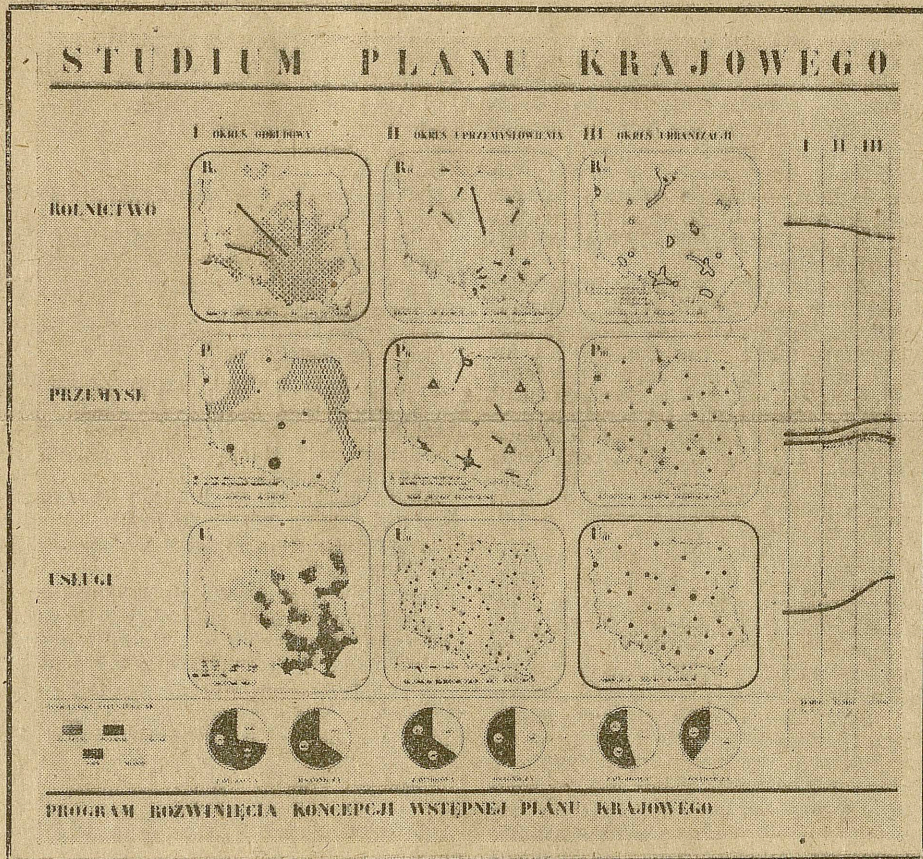
Plan jest czynnikiem mobilizującym masy, jest zawołaniem bojowym w walce o dobrobyt, w walce, której cele i środki są i muszą być powszechnie znane.

5. JAK POWSTAJE NARODOWY PLAN GOSPODARCZY?

a) Najpierw Rada Ministrów ustala na wniosek Prezesa Centralnego Urzędu Planowania wytyczne w zakresie podstawowych zadań narodowego planu gospodarczego. Dla przykładu podać można, że np. wytyczne planu na rok 1949 obejmujące 77 punktów m.in. ustalają, że produkcja przemysłu państwowego w r. 1949 ma być wyższa o 21-23% w porównaniu z r. 1948, że będzie się dążyć do zwiększenia produkcji roślinnej o 14%, produkcji zwierzęcej o 13 do 15%, że przy budowie nowych zakładów przemysłowych będzie się brało pod uwagę przede wszystkim rejon Sandomierza, Rzeszowa, Lublina, Siedlec Białegostoku, Warszawy, Zagłębia Koninśko-Kładowskiego, oraz rejonu nad Notecią itd.



* Stanisław Cieślak, Plany regionalne, „Wies” nr 30-31.



b) Później poszczególni ministrowie sporządzają (w ramach ogólnych wytycznych ustalonych przez Radę Ministrów) plany odcinkowe, które obejmują gospodarkę państwową w danej dziedzinie, jak i gospodarkę samorządową, spółdzielczą i prywatną, te trzy ostatnie w zakresie, w jakim są one włączone do planu gospodarczego. Tak więc np. Minister Odbudowy w zakresie budownictwa mieszkaniowego składa wnioski dotyczące zarówno budynków wznoszonych przez państwo, spółdzielnie jak i budownictwa prywatnego, zarówno na wsi jak i w mieście.

c) Wreszcie, zgodnie z art. 3 dekretu z dnia 1.10. 1947 r. o gospodarce planowej — Wojewódzkie Rady Narodowe oraz Rady Narodowe m. st. Warszawy i Łodzi składają swoje opinie i postulaty dotyczące planu gospodarczego.

Na podstawie tych materiałów, powiększonych o własne opracowania, Centralny Urząd Planowania sporządza projekt narodowego planu gospodarczego, który po przejściu przez Radę Ministrów zostaje, w formie projektu ustawy przedstawiony Sejmowi.

Poszczególni ministrowie układając plany odcinkowe w swojej dziedzinie zawiadamiają wszystkie podległe sobie zakłady i instytucje nad którymi sprawują nadzór i kontrolę o wytycznych planu i o sposobie składania szczegółowych wniosków inwestycyjnych.

6. UDZIAŁ SAMORZĄDU W PLANOWANIU

Rozwój samorządu terytorialnego jest jedną z głównych trosk ruchu ludowego. Nic więc dziwnego, że i w dekrecie o gospodarce planowej z dn. 1 października 1947 r. znalazły się takie sformułowania, które stwarzają dla Wojewódzkich Rad Narodowych (a tym samym i dla niższych szczebli samorządu terytorialnego) realną możliwość uaktywnienia samorządu w dziedzinie planowania gospodarczego.

Trudno jednak już dziś wyrazić i ostatecznie ustalić zakres i metody pracy samorządu terytorialnego w dziedzinie planowania. Sprawa ta wymaga jeszcze wszech-

stronnej analizy i gruntownych uzgodnień. Pewne jednak punkty wydają się już dziś bezsporne.

Po pierwsze: jeśli Woj. Rada Narodowa ma wyrażać swoje opinie i decydować, to musi mieć do tego specjalny pomocniczy organ o charakterze społecznym. Tym organem są przewidziane w okólniku Rady Państwa z dn. 3 lipca 1948 r. **Komisje Planowania** Wojewódzkiej Rady Narodowej, które albo już istnieją, albo powstają przy Wojewódzkich Radach Narodowych.

Po drugie: Komisja Planowania Wojewódzkiej Rady Narodowej, jako czynnik społeczny powinna pracować w oparciu o fachowe komórki administracji państwowej. Odnosząc planowania komórkami tymi na terenie województwa są: Biuro Regionalne Centralnego Urzędu Planowania (dla planowania gospodarczego) oraz Regionalna Dyrekcja Planowania Przestrzennego (organ Głównego Urzędu Planowania Przestrzennego**). Obie te komórki powołane są do stałego i systematycznego badania rozwoju gospodarczego danego województwa, śledzą jego potrzeby i możliwości, a wnioski z tych badań powinny uodstępnie Komisji Planowania Woj. Rady Narodowej. Dlatego słusznie zarządzenie Rady Państwa przewiduje, aby członkami Komisji Planowania byli również i dyr. Biura Regionalnego CUP (w charakterze sekretarza) oraz dyrektor Reg. Dyrekcji Planowania Przestrzennego.

Po trzecie: główną troską Komisji Planowania Woj. Rady Narodowej powinny być inwestycje samorządowe, co wcale nie znaczy aby Komisja Planowania nie mogła wyrazić swojej opinii, lub decydować ośnośnie wszystkich innych inwestycji dokonywanych na terenie województwa, czy to przez przemysł, rolnictwo, rzemiosło czy komunikację.

** O zakresie pracy CUPP informuje: St. Cieślak, Gospodarcze planowanie przestrzenne, „Wies” nr 25 (154), czerwiec 1948 r.

Po czwarte: inwestycje wielkie mają swych wnioskodawców, obrońców i kontrolerów w postaci fachowych Ministerstw i innych urzędów. Inwestycje rolnicze, spółdzielcze, drogowe, oświatowe, kulturalne są przeważnie inwestycjami drobnymi, które jednak przez swój masowy charakter nadają danemu województwu wyraźne, określone oblicze. Koordynacja w skali województwa drobnych inwestycji, ale występujących masowo, stanowi bardzo wdzięczne pole dla działalności Komisji Planowania.

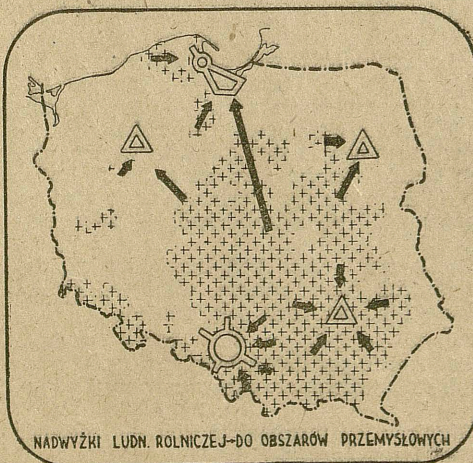
Po piąte: nie nie stoi na przeszkodzie, aby w powiatach sprawnie pracujących, gdzie istnieje dostatecznie silny aktyw społeczny, który pracuje nad podniesieniem gospodarczym swego terenu zainteresować sprawami planowania gospodarczego również i Powiatowe Rady Narodowe, zachęcić je do powołania społecznych komórek planowania (np. w formie Komisji Planowania przy Pow. Radzie Narodowej lub w inny sposób), które będą ściśle współpracować z Komisjami Planowania przy Woj. Radach Narodowych.

7. MOBILIZACJA GOSPODARCZYCH DZIAŁACZY TERENOWYCH WOKÓŁ ZAGADNIEN PLANOWANIA

Zamykając artykuł stwierdzić należy, że planowanie gospodarcze w Polsce przestało już od dawna być przedmiotem zainteresowań jedynie centralnych czynników państwowych. W ramach jednorocznych i wieloletnich planów gospodarczych układa się już działalność większości warsztatów produkcyjnych. Trafne ułożenie planu, jego wykonanie i przekroczenie staje się ambicją coraz większego kręgu pracowników miast i wsi, a sam plan staje się zawałowaniem bojowym, już nie jednostek a mas.

Dlatego też właśnie na łamach „Wsi”, która już w Lublinie stanęła do walki o nowe oblicze wsi polskiej, do pracy nad przebudową społeczną i gospodarczą środowiska wiejskiego, poruszamy te zagadnienia.

Bez mobilizacji bowiem wszystkich terenowych działaczy gospodarczych, bez ujęcia ich pracy i dania praktycznych wskazówek, w jaki sposób swą wieś, gromadę, gminę, czy powiat dźwignąć na wyższy poziom świadomości gospodarczej i wyposażenia technicznego — bez tego wszystkiego obszar Polski przemysłowo i rolniczej, Polski dobrobytu i sprawiedliwości pozostanie w stanie wyobrażeń i nie stanie się faktem. Dziś już w każdym województwie istnieją i społeczne i fachowe instrumenty planowania. Trzeba tylko chcieć się nimi posługiwać i brać swoje sprawy w swoje ręce.

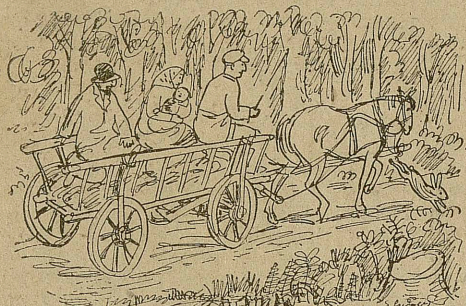


Witold Zalewski

ilustr. S. Cieloch

SPOTKANIE POD LASEM*)

Mijał krzyż. Kobyła przeszła z drobnego truchcika w leniwy step. Koła skrzypiały i klekotały, piasek przesypywał się, syjąc przez obręcze. Wyraźnie widział Antek na suchym, omszonym drzewie dwie dziury po jego celnych kulach — wczorajszych. Przypomnił mu się niepewny głos Szostaka: „Do krzyża jakoś nie bardzo — Antos...”. Więc mu wytłumaczył, co ten krzyż znaczy. Na jego ramionach jest napis. Teraz jeszcze raz przeczytał po lewej stronie: „Gdy Bóg z nami”, po prawej — „któż przeciw nam...”. „Ten krzyż” — mówił wczoraj do „Rudego” — „pamiętasz? postawił Bucyna, jak gospodarzył na Rudawce — nie wiesz poco? no, patrzaj, on jest zwrócony w tamtą stronę, tak, na felwark — to było do starego pite. Jak się żarli niby dwa brytany, teś z dziećmi, wtedy gruby, chciał staremu pokazać „co mi zrobisz, kiedy ze mną Pan Bóg trzyma...”.



„Cie... Antos”.

„Widzisz. Stary podobno przed tym krzyżem nigdy czapki nie zdejmował. Dawniej. Teraz już zdejmuję”.

I rabali do krzyża, aż dzwoniło w uszach. Po prawdzie tu nigdzie nie ma drzewa w bliskości, a musieli wypróbować karabin. Pięćset złotych, które nakoniec wytargował Antek od „Rudego”, to była niewielka pociecha, ale zawsze przybytek. A karabin był żołta niecelny i rakowaty w lufie, jak ospowata dziwka. A najważniejsze, że po wypadku z Piotrem, strach byłoby z niego strzelać...

Kobyła „Rudego” stapała flegmatycznie, obijając boki ogonem. Nagle stanęła i podniosła zadnią nogę, żeby się podrapać, jak pies, po brzuchu. Antek nie poganiał. Do 11 było daleko; chciałby, żeby było jak najdalej; bał się trochę. Zośka zupełnie spokojna, przy nim tak nabierała odwagi, huśtała na rękach dziecko i coś mruzczała. Specjalnie kazał mułego ubrać w czyste szmatki i nauczył podsuwać pod oczy tym draniom. Najwięcej Szelażek był wrażliwy na dzieci...

Droga płynęła leniwie; pusto było po obu stronach na polach; niebo roztopiło się w błękit; wysoko żeglowało kilka bocianów. „Jesień”, powiedziała Zośka, Antek złapał się nagle za piersi. Namacał dłońią plik banknotów. „Psu do dupy” — zżymnął się — „tyle pieniędzy...”. Żeby sobie zrobić na złość, zaczął obliczać, ile to mógł zarobić, gdyby się nie stało nieszczęście — za same trzy RKM musiałby Leszek wybulić sześć tysięcy, a karabiny — każdy niech po dwie setki...

Zaciął kobyłę batem i szarpnął lejcam — „wio cholero”. Zdziwiona podbiegła parę kroków.

„I znowu nic z łączki. ...A ludzie mają ziemi do cholery. Akurat zaczynały się kartofliśka chomejowych kulałów. A co on miał? — Dwie morgi piachu — do śmiechu! Czy nie pamiętał, jak każdej jesieni zginał plecy nad dworskimi kartoflami, jak się poniewierał po różnych tractwach, ciesielstwach, wszelkich wyrobkach, a muzykantstwo? To z rozkoszy? A fryzjerstwo? Wszystkiego się czepta, po to tylko, żeby żyć. I choćby się nie wiedzieć jak umęczył, to zarobił tylko na to najgorsze życie. We wojnę poszło mu lepiej. Od kiedy zrobił się pierwszym bimbrarzem — mógł sobie pozwolić na różne rzeczy... Ale to wszystko nie dawało zabezpieczenia. Dopiero, jak kto miał ziemię, to był mocny. Był marnota ludzka nabierała znaczenia na morgach. A on co? Gdyby był taki, jak wszyscy — nie by nie chciał od świata. Ale w nim się dusiły zdolności. Człowieka powinno się uważać nie podług tego, co posiada, ale podług tego, co potrafi zrobić. Leszek potwierdzał skwapliwie, że tak będzie po wojnie, Woźniak — kiedy mu Antek wyluszczył swoje myśli — chwilę mrużył, jak to on, czy, a potem powiedział: „Jeżeli w kraju wygra rewolucja, to wtedy człowiek będzie znał tyle, co robi...”. Dobrze było takie społeczne zwycięstwo, niechby wszyscy mieli po równo ziemi — na początek.

„O, Antos — Zysiek!”, krzyknęła kobieta. Żyd siedział nad rowem, czarny w swoim chałacie i nieruchomy, jak kamień.

„Jak to się żydzina nie boi” — gdała Zośka. Antek podciął kobyłę. Machnęła niecierpliwie ogonem, ale nie przyspieszyła kroku.

„Głupia” — mruknął Antek — „chodź jeszcze im wolno...”.

*) Fragment powieści pt. „Broń”.

Zysiek wstał. „Dzień dobry, Staszaku”, zaśkrzypiał. Przetoczył się na pałakowatych nogach przez rów, ciągnąc worek. „Pr... Antoni, do Woli Chomejowej... — Antoni, ja uszade...”, dreptał koło wozu.

Antek machnął ręką. „A siadajcie — prr... — zatrzymaj”.

Wjechali w las. Kobyła znowu zwolniła na piasku.

„Każdemu po równo ziemi na początek — powtórzył Antek myśl. — A potem, co kto potrafi, niech pokaże... Grunta dworskie podzielone... — młody sad... Wydała mu się nagle niemożliwa taka zmiana życia na powszechny, dobry byt. Panowie wykrecą jeszcze wszystko ku swojej korzyści... Dopiero, jak się coś zdobędzie samemu, a zapłaci za to żywym groszem — to jest pewne...”.

„Cholera” zaklął... „Laboga — kot...” — powiedziała Zośka osłabłym głosem. Zając przeciął im drogę i znikł w krzakach.

„Pszakrew — tyf” — splunął za siebie Zysiek. „Głupota...”, mruknął Antek — „wio...”, szarpnął lejce.

„Jedźcie na policję, Staszakowa?” — zaciął stary.

„Ano...”.

Żyd cmoknął. „Niedobrze, ujdźcie... ja was nie radzę, Antoni...”.

„Głupota” warknął Antek, „co zrobisz? — poszedłbym do lasu, żeby nie...” wskazał brodą żonę i dziecko. Żyd pokiwał głową rozumiejąco.

„Pieniądze macie, co?”.

„Trochę...”.

„Nu, jak pieniądze jest, to nie bójcie... ja do was mówię... Staszakowa...”.

„Ale”, bąknęła Zośka.

„Nie bójcie...” nachylił się, „naszym nakazem trzy kilogramy złota...”.

„O cholera”, ruszył się Antek.

„...po niedzieli...”, jak nie dasz, to wszystko pójdzie do ghetto — tak krzyczał... Wy widcie, Staszak — ghetto?... Wicie... No... Mnie zrobili... — trup jestem... ale bierz, na... zdychnij, żeb ci cholera... — zapienił się — „jeszcze dam... na, udlaw się, wszystko dam... Co ja mam — nie nie mam” — szarpnął chałat na piersi. — „Nie nie mam, a dam jeszcze... Kto chce zdychać?... Żeb ci cholera...”, urwał. Stęknął.

Zośka odpowiedziała ciężkim westchnieniem. „Cholera” — mruknął Antek. Zdzielił kobyłę batem. Wypoczęta ruszyła raźnie kłusa po twardej drodze. Las rozbiegł się na strony. Pojedyncze świerki wyciągały ostre pazury. Wóz podskakiwał po korzeniach. Dziecko zaskuczało nagle cicho. Zośka jęła je huśtać, a Zysiek pochylił swoją brodą twarz. „A co, a co?” — cmokał, wykrzykiwał się, jak małpa. Małe zaczęło wrzeszczeć. „Zostawcie” — krzyknęła kobieta. Rozpięła bluzkę i wyluskała mleczną pierś z kossuły.

Po lewej ręce mieli teraz stary las dworski. Ogromne rude sosny, świerki, choiny... Specjalnie sosny przyciągały wzrok Antka. Mało to się ich nadziabali siekierą... Za to teraz potrafił ocenić bogactwo. Dziedzic nie dałby sobie wydrzeć takich skarbów bez walki. Na przykład stary, jakby tak musiał pójść z Rudawki... Uczyniło się Antkowi nagle ciepło koło serca. Nienawidził drania całą swoją siłą. Krew uderzała w skronie, ręce zaczynały drżeć, kiedy przypominał sobie ten wieczór.

Siedzieli jasnie państwo dokoła stołu nakrytego serwetą. A on pomiędzy nimi jak wilk schwytyany. Policjant popychał go przed sobą i komenderował: „Stop”. Znajdował się po środku pokoju. Twarz miał zawiązana chustką, a cyklistówkę wciśniętą głęboko na oczy. — Mówić „Ręce do góry!” — rozkazał

policjant. Antek nie mógł wydobyć głosu. Zacharkotał dziwnie. Pierwsza dziedziczka przybladła nieco. „Bardzo nam przykro, ale pomyliliśmy się, z całą pewnością tamten był szczuplejszy i wyższy, znacznie wyższy”.

„No bysiu!...” krzyknęła Zośka. Mały machał rączkami i gulgotał złośliwym śmiechem. Antek odetchnął mocno. Zerknął na odkrytą pierś żony — ciemna wilgotna sutka miała wyraźny ślad ząbków dziecka. „Ty, nie gryź matki!” Leciutko uszczypnął syna w policzek. Niebieskie oczy mrużyły się przed słońcem. Zaczynało coraz mocniej przypiekać. Dochodziła dziesiąta godzina. Zysiek wyciągnął się na grzeczynie za wiazką i drzemał. Babie lato czeptało się ubrania. Na kłęby kłaczki wystąpiły plamy potu, w kroku zaczęła się mydląc tłusta piana. „Młda jest” — osadził Antek. Ale mimo to szła teraz równym kłusem. Parskając rzucała zgrabnym łebkiem. Zapach jałowca spletanego gestem nad podszyciem leśnym przesycił powietrze. „Zadali mi upokorzenia” drażnił się Antek. Władza była za nimi. Nie mógł uzyskać nic, chociaż laził po posterunkach i sadach. Jeszcze go wysmiali. Czegoż taki wrażliwy? Czy mu się stała krzywda?... Władza zawsze jest przeciwna chłopcom. Przypomnił się Antkowi Leszek. Ten przynajmniej obiecuje iść na całego. A z ludźmi nie wiadomo, jak będzie. Za dużo wśród nich morgowców. Przeciw samemu Woźniakowi Antek nie nie miał. Ale teraz i tak droga do niego zamknięta.

— „Antos...” — trąciła go Zośka — „a może dziadówka poszła przeskarżyć...”.

— „Ale...” — szarpnął się — „głupota... za mieszkaniem poszła — wiesz przecie...” — sobie tłumaczył. Co by mogła donieść? — kombinował. Niepokoił go tylko jeden jedyny wypadek. Jasio z Tomaszewicy upił się u niego i machając braunینگiem wrzeszczał: „Kto jest Janczarek — zobaczcie!... kto jest Staszak? — zobaczcie!” A dziadówka to s...s...s...

— „Antoni wygnął Wagramską?” — spytał nagle Zysiek. Ze snu miał zaszereżnione oczy, jak królik.

„Ano...”.

Żyd cmoknął. „Po co wy robicie wrogów? W takie biedy...”.

Antek nie odpowiadał. Wydało mu się, że słyszy brzęczenie motoru. Po chwili ustało. Od samego rana zły był na siebie, że nie potrafił się opanować na czas.

— „Biedna kobita” — ciągnął Zysiek — „dokąd sze podzieje? z dzieckami...”.

— „Szlak ją trafi...” — Gniew zatrzęsł Antkiem. „Niech ją cholera zdusi razem z bękartami...”.

— „Ale... Będzie się martwiła dziadówka...” — dorzuciła Zośka.

Wzięli ostro zakręt i nagle uczyniło się Antkowi trochę ciasno w pierści.

— „Niemco...” — stęknął Zysiek — „Stać cię Staszak...”.

Motocykl i ciężarówka zbliżyły się powoli.

„Kenkarte mam w porządku, Zośka też” — obliczył szybko Antek — „nie mi nie zrobią...” — tylko ten Żyd... mógłby skoczyć w las...”.

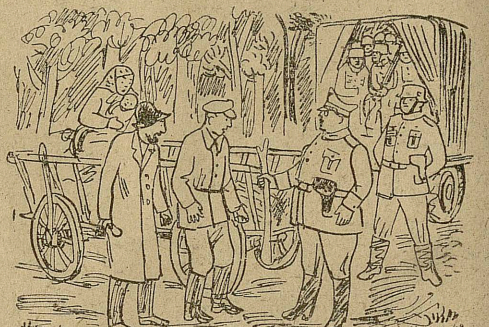
— „Siedź” — warknął. Gotów był go przytrzymać w razie czego. — „Co będzie...” — mruknął. Zjechał tuż nad rów, żeby zajmować jak najmniej drogi.

Motocykl kołysał się na wybojach. Rośli Niemcy patrzyli przed siebie przez ochronne okulary; w bliskości za nimi posuwał się samochód malowany kolorem zielonym. „Zandarmi...” — upewnił się Antek. Kierowca był w hełmie, a ten w przyczepce miał — teraz już było widać wyraźnie — brązowy otok na czapce.

„Pewnie oficer” pomyślał Antek — „za ludźmi jada. Będą łapać. Może w Rudawce?” Obejrzał się — Zysiek kłęczał na grzeczynie, skulony, jakby się szyskował do skoku. „Siedź, tydzień” zgrzytnął zębami. Zaciśnął pięść. Pogroził.

„Antoni — co jest? — Antoni...” Motocykl nadjeżdżał. Jak na złość, piach był tak kopny, że nie wypadało przyspieszyć — jechał noga za nogą. Tamci też ledwie się posuwali. Motocykl warczał jak bąk. Ciężarówka zarzucała zadem w rozjeżdżonych koleinach. Zrównali się z motocyklem. Antek zerknął nieznacznie. Patrzył na niego ogromne oczy w okularach, chwytając kątem ceratowy płaszcz kierowcy, pistolet przy boku... Przejechali... Antek wychnął. Teraz nadjeżdżała ciężarówka, pełna żandarmów w hełmach, przetykanych granatowymi mundurami.

„Haaalt!”... — spokojny głos z tyłu. Antek nie rozumiał, tylko serce uderzyło mocno.



„Halt!” ostrzeż i zaraz „Halt Jude!” — na całe gardło. Jednocześnie ciężarówka zahamowała zgrzytliwie, a za plecami jęknęło cicho. Kobyła jakby sama utknęła w piasku. Żandarmi spadali z góry na ziemię. Przez drogę brnął długim krokiem oficer.

Staszak zsunął się z wiazki. Obok dygotał Zysiek. Złość szarpnęła Antkiem.

Nie było widać oczu Żyda, bo nakrył je całkowicie powiekami.

„Antos — o Jezu...” skamlała cicho Zośka. „Powiedz, że sam wlaży” postanowił Antek. Oficer zdjął okulary. Pokazała się tusta twarz. Sine oczy patrzyły z ciekawością na Antka. Zbliżył się na dwa kroki i stanął. Staszak zerwał czapkę. Za oficerem podeszło do wozu kilku żandarmów. Starszy zagadał coś po niemiecku. Antek pokreślił głową i rozleź rękę nierozumiejąco. „Nyks ferszteje” wymówił.

„Nie wiesz?” — zaczął nagle po polsku oficer — „że zabronione jest przewozić Żydów?”

Antkowi zrobiło się nie wiadomo czego gorąco; Niemiec mówił zupełnie spokojnie i bez gniewu, ale jego wodniste oczy ślizgały się z okrutną ciekawością po człowieku. Antek wciągnął głowę w ramiona.

„On sam wlaży, sam — panie...”

Oficer skrzywił się i machnął niedbale ręką. Krzyknął coś do swoich. Krótki żandarm doskoczył do wozu. Szarpnął kłonicę.

„Będzie bił” przeraził się Antek. Zaciśnął powieki. Naraz poczuł dźwięk w dłoni. Opuścił ramię, nie rozumiejąc, czego od niego chcą.

— „Nie lubisz Żydów, prawda?” rzucił uśmiechnięty lekko oficer.

„Nie lubię” odpowiedział szczerze Antek. „Jaaa — przeciągnął Niemiec — bardzo dobrze...” — przerwa — „Zabijesz tego Żyda...” rzucił.

Antek chrapnął. „Jak to?” wyrwało mu się. „Ta palka” — Niemiec wskazał kłonicę. Uśmiech znikł z jego twarzy. — „No...” — wolno odpiął kabur — „bo będę musiał ciebie... Na, nie bądź głupi...”.

Okropny strach oblał Antka za nogi. Miłowoli obejrzał się na Zośkę. Zastanowiła się dzieckiem, które patrzyło nie rozumiejąc. Seisnął z całej mocy kłonicę. Postąpił krok. Czuił, jak go prowadzą uważne oczy Niemców. Bał się spojrzeć na Zyska. Śliznął się tylko wzrokiem po czarnym chałacie. Przemknęło mu przez myśl, że przecież nieraz bił ludzi.

„W skroni, żeby od razu skończyć” — Podniósł rękę i wzrok jednocześnie. W ostatniej chwili dłoń mu się zwinęła. Zysiek krzyknął. Ciurek krwi spływał po jego twarzy. Biał był, jak papier. Świszczący oddech wydobywał się z gardła. Oczy miał wciąż zamknięte. Antkowi wydało się, że teraz dopiero go spostrzegł.

„Na, dalej...” usłyszał groźną zachętę. Obrócił głowę. Niemiec wpatrywał się w niego skrzywiony.

„Antoni” — zabręczało w powietrzu. Wydało się Antkowi, że Zysiek prosi. Jednocześnie jakby się w nim coś obsunęło i pękło. Nie mógł uderzyć. Obrócił ciężko wzrok. Kobyła omiała boki ogonem. Żandarm zdejmował hełm i obcierał czoło. Drugi stał rozkraczony nad rowem. Ta chwila wyciągnęła się do ostateczności. Naraz cieniły krzyk Zośki zerwał ciszę. Antek poczuł, że Niemiec wyjmując rewolwer. „Na — du...” Antek stęknął. Zakręciło mu się w głowie. Nogi osiadły w kołanach. Jakiś krzyk. Antek zobaczył granatowego policjanta Nowaka biegnącego przez drogę.

W NAJBLIŻSZYM POKONGRESOWYM POWIEKSZONYM NUMERZE TYG. „WIEŚ”

ZAGRANICZNI UCZESTNICY KONGRESU

poza tym ukażą się artykuły

JAN ALEKSANDER KRÓL

MAPA POLITYCZNA I GOSPODARZA EUROPY I ŚWIATA.

ANNA KAMIENSKA

REFLEKSJE POKONGRESOWE.

LEON GOMOLICKI

REALIZM SOCJALISTYCZNY.

LECH BUDRECKI

WSPÓŁCZESNA LITERATURA AMERYKAŃSKA.

LEONARD SOBIERAJSKI

TRADYCJE LITERACKIE REPORTAŻU.

WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI

SPOŁECZNA FUNKCJA WSPÓŁCZESNEJ PLASTYKI EUROPEJSKIEJ

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

MŁODZIEŻ PRACY I POKOJU.

Witold Jedlicki

MITY RODZINNE*)



Adam Ważyk

I.
Rodzina mieszczańska w okresie swojego rozwoju nie była przyjemną instytucją. Przyczyna tego była chyba ogólnie przyjęta i obowiązująca w owym czasie konwencja, nakazująca jakąś specyficzną część dla pieniądza, zarówno wtedy kiedy on był, jak i wtedy kiedy go nie było w dostatecznej ilości. Mówi się tak wiele o pruderii panującej w owym czasie; ale czyż pruderia nie była już zjawiskiem wtórnym; czyż nie powstała ona dlatego, że narządy płciowe uznano za wartość, którą można spekulować, która procentuje, którą należy oszczędzać?

Smutny był los członka rodziny mieszczańskiej, całkowicie zdeterminowanego przez ową konwencję, której musiał podporządkować wszystkie swoje potrzeby i zamiary. Myśle, że przeciwko takiej egzystencji rodziny mieszczańskiej buntował się głównie ów — według relacji biografów — wielki czciciel wiewiór rodzinnych Karol Marx. Nie mam pod ręką „Manifestu Komunistycznego”, dobrze pamiętam jednak wyraz oburzenia, jakim Marx piętnuje komercjalizację stosunków w obrębie rodziny mieszczańskiej.

Adam Ważyk opisuje rodzinę mieszczańską (lata pierwszej wojny światowej) w okresie, w którym pozbyła się ona już owego kultu pieniądza. Tylko nieliczne postacie „Mitów” reprezentują ten stary styl życia. Julia Karczowa nie może się pogodzić z faktem, że jej dzieci utraciły cnotę i odmawia swojego poparcia dla poornie planowanego małżeństwa syna z chwilą, gdy przekonuje się, że jego narzeczona utraciła posag podczas wojny, ciotka Miklasowa chowa złote ruble w piwnicy — ale to już przeżytki, które los stawia przed faktem dokonany. W czasach, opisywanych przez Ważyka nie ma już na ogół kultu pieniądza, który znamionował okres rozkwitu mieszczaństwa. Jest natomiast coś innego. Rodzina mieszczańska jest w stanie rozkładu.

II.
Na czym polega rozkład rodziny mieszczańskiej u Ważyka? Odpowiedź na to pytanie wydaje mi się bardzo prosta. Prawie wszyscy bohaterowie Ważyka są neuropatami. Różne objawy neuropatii poszczególnych członków rodziny powodują niemożność współżycia, a co za tym idzie rozkład rodziny. Ale, trudność zaczyna się, gdy zadamy sobie pytanie, skąd się bierze neuropatia, jakie są jej przyczyny. Ważyk przez fakt, że neuropatia jest zjawiskiem ogólnym sugeruje, iż przyczyny jej należy szukać w dziedzinie socjologii, a nie psychologii. Niestety na tej sugestii się kończy. W całej książce nie mamy żadnych faktów społecznych, którymi moglibyśmy sobie jakoś wytłumaczyć psychikę bohaterów. Przypuszczam, wiemy jedno. Wiemy, że bohaterowie należą do klasy burżuazyjnej inteligencji. Ale tłumaczenie neuropatii samą tylko przynależnością klasową jest przecież jawnym absurdem. Nie o to też chyba chodzi Ważykowi.

III.
Rodzina mieszczańska u Ważyka — po pozbyciu się krepujących konwencji z okresu poprzedniego staje się de facto instytucją bardzo przyjemną. Wewnątrz rodziny panuje nieczłowieczny liberalizm, poszczególnym jej członkom pozostawia się maximum swobody osobistej. Ostatecznie, gdyby Ewa zapragnęła stracić cnotę w jakiś nieprzewidywalny sposób, nie miałaby do czynienia z żadnymi sankcjami rodzinnymi ani obyczajowymi. Nie ma też u Ważyka tego arystokratycznego pedu do kariery czy bogactwa, który znamionował wszystkie mamy i wszystkich synów z końca ubiegłego stulecia. Papa Karcz unika bogatej klienteli.

Mylnym wydaje mi się pogląd, że liberalizm niósł ze sobą rozprężenie obyczajów; liberalizm pomógł jedynie ujawnić się rozprężeniu, które istniało już i wcześniej. Skoro więc te stosunki są tak przyjemne, jeżeli w rodzinie mieszczańskiej jest tak dobrze, skoro z drugiej strony rozprężenie obyczajowe datuje się z okresu dawniejszego, skąd neuropatia?

*) Adam Ważyk: „Mity rodzinne”, „Czytelnik”, 1948.

IV.
Okres dojrzewania płciowego przypada normalnie na 13, 14 lata życia. W środowiskach inteligentnych i mieszczańskich moment rozpoczęcia życia płciowego w przeważającej ilości wypadków przypada na okres 18, 21 lat. Stąd przed każdym dzieckiem mieszczańskim powstawał problem tych czterech do ośmiu lat „bezczytności”. Stare cioci doradzały sport; to jednak rzadko rozwiązywało sytuację. W środowiskach wielokapitałowych radzono sobie bardziej racjonalnie: syn od 15 roku życia dostawał od ojca w prezencie utrzymanie. Również racjonalnie radzi sobie Max Blaufeld: liczba prostytutek w owym czasie w Warszawie była dostateczna, aby zaspokoić pragnienia pożądlivych synów mieszczańskich i inteligentnych. (Nie zapominać, że Max Blaufeld dochodzi do najlepszych wyników naukowych ze wszystkich bohaterów książki). Niesłusznym wydaje mi się mniemanie, że problem ten istniał tylko u meskiej połowy młodzieży mieszczańskiej; świadczy o tym chociażby statystycznie stwierdzony większy odsetek onanizujących się dziewcząt niż chłopów. Natomiast rzeczywiście problem ten nie istniał w środowisku proletariackim. Jednakże dla większości młodzieży mieszczańskiej racjonalne rozwiązanie tego problemu było nie do zrealizowania.

W życiu seksualnym młodego mieszczanina był jeszcze drugi czynnik, który w pewien sposób uragał zasadzie racjonalizacji. To statystycznie stwierdzony fakt, że 80% chłopów ze środowiska mieszczańskiego rozpoczynało życie seksualne z dużo starszymi od siebie kobietami w wieku „balzakowskim”, nie rzadko bliskimi krewnymi. Stosunek Karola Karcza z Zenobią Ożarowską jest wprost stereotypem. Dopiero po tym parados w arkana miłości przeciętny młodzieniec mieszczański przeczucił się do stosunku z rówieśniczką (Karol i Naszka — znowu stereotyp). I tu znów trzeba przyznać, że w środowisku proletariackim ten stereotyp przebiegał całkiem inaczej. Z tego jednak nie należy wyprowadzać wniosku, że fakt ten był jakimś specyficznym obyczajem mieszczańskim. Przeciwnie raczej arystokratyczne, niż mieszczańskie środowisko miało na myśli Balzac,

kiedy mówił, że pierwszą miłość mężczyzny jest w stanie zaspokoić tylko ostatnia miłość kobiety.

Te dwa fakty: przymusowa asceza i stosunki ze starszymi kobietami jako odbiegające od racjonalnych schematów układania sobie życia płciowego mogły stać się istotnie przyczyną neuropatii czy nawet zbrodni psychicznych. Fakty te mogą być właściwe dla pewnych środowisk społecznych; w innych zaś mogą nie występować. Tym niemniej ograniczanie ich do okresu upadku mieszczaństwa jest grubym uproszczeniem; trudno zaś przypuścić, aby podobne cechy neuropatyczne miały en masse arystokracja z okresu Balzaca. Zresztą u „Mitów” objawy neuropatyczne występują również u młodego Albina Karcza. Przyczyna tego — jeżeli mamy konsekwentnie jej szukać w odstępstwie od racjonalnego schematu życia płciowego — może być przedczesne uświadomienie seksualne. Ale przecież to jest z kolei właściwe dla środowisk proletariackich; w tym środowisku stało się to raczej przypadkiem; zresztą gdyby nie Flera Szemborkówna, która mieszczańką ani inteligentką bynajmniej nie jest, Albin długo jeszcze nie zobaczyłby nagiej kobiety.

Tak więc odstępstwa od racjonalnych schematów życia płciowego nie tłumaczą u Ważyka niczego. Zagadnienie: skąd się bierze neuropatia bohaterów „Mitów rodzinnych” pozostaje zagadnieniem otwartym.

V.
Przypomnijmy sobie jednak, od czego zaczyna się neuropatia Ewy. Ewa zostaje uderzona w twarz przez matkę. Czy wszystko to, co czyni Ewa dalej, jest normalną reakcją dziecka bitego przez rodziców? Nie, nikt w rodzinie Karczów bicia dzieci, jako metody pedagogicznej nie uznaje; to, co się zdarzyło w tym wypadku jest czymś zupełnie odosobnionym, przypadkowym. Ewa reaguje na uderzenie w twarz w sposób najbardziej nieoczekiwany. Podobnie nieoczekiwane są reakcje psychiczne innych postaci „Mitów”. Niewątpliwie takie reakcje psychiczne i takie, często zupełnie nieuchwytnie, motywacje czynów ludzkich, jakie spotykamy w książce Ważyka są możliwe, na pewno zaś nie są ko-

„NORMALNE KONTAKTY”

Nota pt. „Kurierskie lewaństwo” („Wies” nr 32/33 (161-162) otrzymała odpowiedź ob. A. P. z „Kuriera Popularnego” (nr 223 (1007)). Ob. A. P. pisze, że „insynuacje „Wsi” są prowokacyjne, ponieważ zarzucają nam poglądy, których nie wypowiedzieliśmy, a które dziś słusznie są przedmiotem ataku ze strony partii robotniczych i komunistycznych. Gdzież to autor napastliwej notatki „Wsi” wyczytał w naszym raporcie, że już dziś „wszyscy chłopci, bez względu na ich stan majątkowy, razem z księżmi i byłymi właścicielami folwarków chcą zakładać spontanicznie spółdzielnie produkcyjne”? Któż to jest skłonny nie doceniać akcji wychowawczej i walki klasowej, jaką się na wsi toczy?”

„Raport umieszczony w naszym piśmie nie jest wypowiedzią „pana dziennikarza”, który przypadkowo znalazł się na wsi i mówi o niej jak ślepy o kolorach. Wiele z nas posiada normalne kontakty z chłopami, ponieważ są to po prostu nasi ojcowie, czy bracia”

„Natomiast „pan literat” popełnia zasadniczy błąd twierdząc, że nie ma dziś chłopów, którym odpowiada spółdzielca gospodarka, że dopiero akcja wychowawcza zdoła ten stan zmienić. Tacy chłopci — drogi panie — są, ba, byli już w 1906 i w późniejszych latach. Mogłobyśmy zacytować wiele wypowiedzi zawartych w pismach chłopskich, potwierdzających tę prawdę. Mówi o niej „Zaranie”, „Życie gromadzkie”, program „Młodej Polski Ludowej”, program PPS-lewicy („Stapińczycy”). A dziś? Czy byłoby do pomyślenia fakt, aby partię robotniczą wystąpiły z problemem uświadomienia produkcji wiejskiej bez oparcia organizacyjnego wśród biedoty chłopskiej i wśród dużej części średnioludnych chłopów. Przecież walka klasowa na wsi jest prowadzona właśnie przez sprzymierzone robotnicze, przez tego, którego interesowi odpowiada sojusz robotniczo — chłopski”

Sprawą zasadniczą jest problem oceny stosunku chłopów do spółdzielni produkcyjnych. Ob. A. P., nazywając mnie „panem literatem” (szlachetnie, że w cudzysłowie), zarzuca mi popełnienie błędu przez głoszenie twierdzenia, że nie ma dziś chłopów, którym odpowiada spółdzielca gospodarka. Pokancerował obywatel przy tym moje wypowiedzi przez dowolne układanie i ujmowanie w cudzysłowy zdań. Twierdzeniu temu zapewne przeciwstawia również tego gospodarza, którego spotkał z okazji zepsucia się samochodu i z którym przeprowadziwszy wywiad, wynikami jego obdarzył czytelników „Kuriera Popularnego”. I nawet tak mdłe przeciwstawienie miałoby niejaką wagę, gdyby było potrzebne. Ale przecież ja wcale nie twierdzę, że nie ma chłopów zwolenników spółdzielczego gospodarowania. Są. Jest ich dużo. Są, są nawet **spółdzielnie tego typu**, przy których niestety. Wasz samochód nie chciał się zepsuć. A szkoda, bo obraz życia i pracy takiej **spółdzielni produkcyjnej** przedstawiony w piśmie codziennym bardzo by cieszył wszystkich bojowników socjalizmu. Cóż bowiem z tego, że reporter opisał rozmowę z owym przypadkowo napotkanym chłopem? Jeśli nawet cała ta historia nie jest wyimaginowana (mniejśja o

to) i jeśli wypowiedź gospodarza jest autentyczna i szczerą, a nie nabijaniem „pana dziennikarza” w butelkę (jak to zdarza się z chytłymi chłopami — szczególnie z takimi, którym się „nieleże” powodzi), to nie może służyć w żadnym wypadku za **podstawę oceny stosunku chłopów do tego systemu produkcji. To jest stosunek pojedynczy. Jednostkowy. Osobny.** I jeśli przedstawiamy w czasopiśmie jakąś sprawę, to przedstawiamy ją nie przez napotkanego pierwszego z brzęgu chłopca — **jednostkę i jego relacje**, a przez **działalność rzeczową w tej sprawie**. Patrzac oczyma tego osobnika na aktualne sprawy wsi nie dostrzeżemy bowiem rzeczy najistotniejszych: **walki klasowej**

I dopiero w odpowiedzi na naszą notę piszecie rozsądnie i o **znaczeniu walki klasowej i o wadze organizacyjnego działania** wśród chłopów, doceniacie akcję wychowawczą itd.

Nie umiałem jednak znaleźć odpowiedzi: dlaczego „Kurier Popularny” tak sielankowo te sprawy widział w omawianym przez nas poprzednio artykułku. Dopiero po przeczytaniu atakującej nas odpowiedzi zrozumiałem.

Oto Wy (dziennikarze z „Kuriera Popularnego”) możecie mówić o wsi nie jak ślepy o kolorach, gdyż „wiele z Was posiada **normalne kontakty** z chłopami, ponieważ są to po prostu wasi ojcowie, czy bracia”. Teraz rozumiem. Oto tkwicie po prostu w ramach **tradycyjnej kultury ludowej**, której głównymi cechami są **związki rodzinno — sąsiedzkie i dworsko — parafialne**, oraz tzw. **stosunki „tworzą w twarz”** i uważacie to za normalne. U ludzi z tego kręgu notuje się ahistoryczność i znaczne trudności w przestrzennej (ponadlokalnej) **obserwacji**. I znowu szkoda, bo gdybyście mogli sięgnąć wzrokiem troche poza Piotrków Tryb., to zobaczylibyście w miejscowości **L. regularną rolniczą spółdzielnię produkcyjną** zorganizowaną przez **b. fornalni... Pepecosów**. Ich — świadomych, autentycznych zwolenników tego systemu gospodarowania — zapytajcie o trudności w tej sprawie i im dajcie do oceny swój raport.

Poza tym pisze pan — drogi panie — że mógłby pan „cytować wiele wypowiedzi zawartych w pismach chłopskich, potwierdzających tę prawdę” (chłopom odpowiada spółdzielca gospodarka). Mówi o niej m.in. i „program PPS-lewicy” („Stapińczycy”). Co to takiego ten PPS-lewica („Stapińczycy”) ? Możliwe, że pomylił się panu zecer i korektor. Bywa tak. Ach zarumienić się chyba panu wypadło, gdy przeczytał pan w „Głosie Robotniczym” dosłowny przedruk również tego fragmentu pańskiej odpowiedzi. Ob. K. Z. z „Głosu Robotniczego” (nr 228) w ogóle dziwnie pisze. Bo niedość, że bezkrytycznie przepisuje niebłahe błędy rzeczowe, ale ocena naszej („Wsi” i „Kuriera Popularnego”) dyskusji udowadnia, że noty „Kurierskie lewaństwo” nie widział na oczy. Tym bardziej wydaje mi się to podejrzane, że dostrzegłby wtedy fakt, iż nasz tygodnik wydawany jest nie przez „Czytelnika” oraz, że „Wies” nie jest obca sprawom wsi. Jest tylko nieznana ob. K. Z. A szkoda!

Kp.

nieczne. Skoro więc mamy do czynienia z wypadkami szczegółowymi a nie prawami ogólnymi, pozostaje kwestia do dyskusji, czy książka Ważyka daje nam jakąś wiedzę o psychice ludzkiej.

Wydaje mi się natomiast, że na tych nieoczekiwanych reakcjach psychicznych polega właśnie owa neuropatia bohaterów powieści. W ten sposób stany patologiczne tłumaczy się przyczynowo danymi introspekcyjnymi. To chyba wystarczy, aby zaklasyfikować „Mity” do rzędu powieści psychologicznych.

VI.
Nie wiem, czy i o ile można mówić sensownie o takim zjawisku jak rozkład rodziny; w każdym razie wydaje mi się pewnym, że kryterium jego nie mogą być — tak jak u Ważyka — stany psychiczne czy nawet psychofizyczne poszczególnych członków. Sądzę jednak, że potocznie przez termin: rozkład rodziny mieszczańskiej rozumiemy zanikanie jakiejś konwencji obyczajowej, która stanowiła o **to be or not to be** życia rodzinnego. Takimi klasycznymi konwencjami były obowiązki męża: utrzymanie pozostałych członków rodziny, obowiązki żony: zajmowanie się gospodarstwem, obowiązki obojga rodziców: wychowanie dzieci itp. Jeżeli któraś z tych konwencji została naruszona, wtedy stan, jaki się na skutek tego wytworzył, można istotnie w myśl potocznego rozumienia tego terminu nazwać rozkładem rodziny. Ważyk pokazuje nam taki stan w rodzinie Wieligockich. Wieligocki — typowy młodzieńczy rewolucjonista, piętnujący inteligentów, zasiadających w fotelach swoich gabinetów, dorabia się jakiejś takiej pozycji naukowej, na skutek idealistycznego gestu traci dalsze możliwości awansu naukowego, bogato się żeni, żyje z kapitału swojej żony i on — dawny rewolucjonista — daje się pożerać przez bezczynność. Przypadek jedynie — rewolucja bolszewicka, która pozbawia kapitału rodzinną żonę oraz zmienione warunki polityczne, na skutek których Wieligocki otrzymuje katedrę i jest w stanie utrzymać rodzinę — sprawa, że rodzina Wieligockich, która, gdyby nie się nie zmieniła, nigdy by nie zeszła się z powrotem, w ten sposób wraca na normalne tory konwencji obyczajowej.

VII.
Kiedy Napoleon I zapytał Laplace'a, gdzie się mieści Bóg w jego systemie astronomicznym, Laplace odpowiedział, że w jego systemie Bóg jest elementem niepotrzebnym, że wszystko tam jest wytłumaczone bez uciekania się do jego interwencji. Bezsporną za usługą pozytywizmu — jakkolwiek ten kierunek mógł mieć dobre i złe strony — było definitywne wyeliminowanie z nauki Boga jako instancji metodologicznej. Boga jako przesłanki, na podstawie której wnioskowało się o rzeczywistości, Boga jako hipotezy jakiegokolwiek fakty tłumaczącej. Bezsporną za usługą pozytywizmu jest postawienie nauki na takim stopniu rozwoju, na którym Bóg był niepotrzebny, ponieważ niczego już nie tłumaczył. Bóg nie jest już również potrzebny i racjonalistycznym prądom post-pozytywnistycznym; Karol Karcz niema racji kiedy obawia się, że Ambrodziewicz wyjedzie z Panem Bogiem. Ambrodziewicz obejdzie się doskonale bez Boga. Przed dylematem wiara — nauka nie stoi już na drodze ani wychowywany na tradycjach ideologii zdrowego rozsądku Karol Karcz, ani Ambrodziewicz. Ambrodziewicz mówi co innego: „Nie lekajmy się metafizyki, musimy zdać się na to odczucie i pójść za nim bez skrępowań”.

Równocześnie z rozkładem rodziny z innych podstawowych dla mieszczańskiego życia społecznych instytucji daje się zauważyć w latach kończących dziewiętnaste i rozpoczynających dwudzieste stulecie kryzys mieszczańskiej myśli racjonalistycznej, kryzys pozytywizmu. Wydaje mi się, że jego istotą była wielość równouprawnionych pod względem metodologicznym systemów metafizycznych, z których każdy podawał inną interpretację tych samych zjawisk. Rozwoju metafizyki w owym okresie w żadnym wypadku nie można uważać za cofnięcie się w stosunku do okresu poprzedniego; nie zapominać, że Comte rozumiał słowo: metafizyka w całkiem innym znaczeniu, że zarówno jego teoria trzech faz rozwoju ludzkości, jak i wszelkie późniejsze biologistyczne doktryny Spencera i Taine'a musiały zostać uznane za metafizyczne według kryterium, jakie przyjmował Wiener Kreis. Ta wielość systemów metafizycznych była tym czynnikiem, który najbardziej podważał przekonanie o niezawodności dotychczasowych osiągnięć naukowych. Poincaré nie był jedynym, który to kwestionował. Konwencjonalizm Poincaré'ego był ostatecznie jedną z odmian — bodajże najbardziej prowokującą do myślenia — pragmatyzmu. Pragmatyzm wraz ze wszystkimi „izmami” pokrewnymi: humanizmem, ekonomizmem, intuicjonizmem, fikcjonalizmem konwencjonalizmem wreszcie godziły w archaiczną definicję prawdy Arystotelesa i w ten sposób usiłowały podważyć od podstaw cały dorobek naukowy ludzkości.

Cóż dziwnego więc, że skoro stare konwencje metodologiczne zawiodły, próbowano stworzyć nowe? W parę lat po enuncjacjach Ambrodziewicza stanie w obronie wartości naukowej metafizyki jeden z najciekawszych umysłów owego czasu: Emil Meyerson. Ambrodziewicz stanie jednak przed nowym problemem, problemem trudniejszym niż dylemat wiara — nauka dla rozmaitych Teofilów Grodzickich, przed problemem: metafizyka, ale jaka? Ambrodziewiczowi nie będzie łatwo rozwiązać to zagadnienie.

F A K T Y i Z D A N I A

Przez dzisiejszą mapę polityczną Europy i świata przebiegają ostre linie, linie te wyraźnie określają narody ciężące do dwóch orbit, zdeterminowanych odrębnymi, przeciwstawnymi strukturami społeczno-gospodarczymi. Są jednak linie mniej wyraźne, przebiegają one również i wzdłuż narodu, przebiegają między grupami społecznymi, przebiegają przez wyznania i ideologie. Świat pęka na dwie płaszczyzny: na jednej rządzą siły imperializmu kapitalistycznego, z jądrem Stanów Zjednoczonych, na drugiej mamy Związek Radziecki i demokracje ludowe, postulujące pokój, wolność człowieka i pełne prawo do rozwoju kultur narodowych.

• Który z tych światów pozostaje w ataku i jakimi narzędziami działa?

Cele U. S. A.

„Obecny powojenny etap międzynarodowych stosunków gospodarczych charakteryzuje się tym, że USA dążą do zdyskontowania swego dominującego stanowiska na rynku światowym, by przez wykorzystanie trudności gospodarczych innych krajów kapitalistycznych — szczególnie ciężkich na odcinku deficytu bilansów płatniczych — uzależnić te kraje, pozbawić ich samodzielności gospodarczej, cofnąć ich rozwój ekonomiczny, uczynić z nich teren eksportu kapitałów, rynek zbytu towarów oraz źródło zaopatrzenia w surowce dla USA. Wyrazem tych tendencji jest m. in. osławiony „plan Marshalla” (Ignacy Rzewuski: „Handel zagraniczny USA a plan Marshalla”, „Nowe Drogi” nr. 9).

Jasne są determinanty gospodarczego planu działania imperialistów amerykańskich, o linii postępowania rozstrzygają tu wyłącznie względy ekonomiczne. Im podporządkowuje się cała polityka Departamentu Stanów. Obowiązkiem jest dla polityków amerykańskich, jakie konsekwencje pociągają dla Europy ich plany „pomocy”. Kapitał anglo-amerykański odbudowuje przemysł Niemiec Zachodnich. Nie robi tego oczywiście z czystej miłości dla tych Niemiec, pragnie z nich uczynić narzędzie własnej ekspansji. Imperializm amerykański wykorzystuje wszystkie możliwe siły w Europie, by wprząc je w swe plany. Rok ostatni wyraźnie nam pokazuje, jak w orbicie amerykańskiej polityki został wciągnięty i Watykan jako narzędzie walki.

Świetnie nas o tym poucza publicysta „Tygodnika Powszechnego” Kazimierz Schwarzenberg-Czerny: „Stąd obserwujemy zjawisko tak zdałoby się dziwne we współczesnej nam epoce, że im więcej państwa pochłaniają się przez postępujący napróżd rozwój techniki nowoczesnej i ściśle z nim się łączące bodźce materialistyczne, tym więcej odczuwają one potrzebę oparcia się o wartości duchowe i szukania w nich pionu dla uzasadnienia norm swego postępowania. Ze zaś jedynym czynnikiem, który reprezentuje ten pion od XX wieków jest Stolica Apostolska, więc też do niej zwracają się państwa, szukając u niej tego rodzaju poparcia, jakiego nikt inny udzielić nie jest w stanie”. („Tygodnik Powszechny” Nr. 33 „Stolica Apostolska jako współczynnik stosunków międzynarodowych”).

Nazwijmy te państwa po imieniu: były nimi faszystowskie Włochy, faszystowska Hiszpania, dziś tym państwem są USA. Pan Schwarzenberg-Czerny mówi, że Stany Zjednoczone w 1940 roku nawiązały stosunki dyplomatyczne z Watykanem pod formą „osobistego przedstawiciela Prezydenta F. Roosevelta”. — Prezydent Roosevelt zmarł, nastąpił po nim Prezydent Truman, a „osobisty przedstawiciel” nadal urzęduje przy Stolicy Apostolskiej, co „dowodzi tylko jak wielkie znaczenie przywiązuje rząd amerykański do stosunków z Watykanem”.

Istotnie, dodajemy od siebie, USA przywiązują duże znaczenie do stosunków z Watykanem, tylko że funkcja „osobistego przedstawiciela” cokolwiek dziś się zmieniła.

USA wioją sprawę rozgrywać Niemcami. Fakty: wielcy przemysłowcy niemieccy odpowiedzialni za zbrojenia — uniewinnieni, odbudowuje się wielki przemysł niemiecki, który ma produkować miliony ton stali rocznie, domyślamy się na jakie cele to stal się przeznaczona, nad Ludwigshafen niedawno unosiły się potworne dymy, nie trudno się domyśleć, jakie materiały spowodowały wybuch. Równocześnie gdy Ludwigshafen płonął, w Filadelfii odbyła się konferencja „dozbrojenia moralnego”, skład osobowy tej konferencji doskonale orientuje nas, co mogło być przedmiotem jej rozważań. A więc Niemcy. Na jakich siłach w nich zagrać? Co robią biskupi niemieccy?

Papież i episkopat katolicki

W lutym 1946 roku do Świętego Kolegium w Watykanie wprowadzono nowych kardynałów. Wśród nich znalazło się trzech Niemców: arcyb. Kolonii ks. Józef Frings, biskup Münster ks. Galen oraz bisk. Berlina ks. von Preising. Biskupi ci po tym akcie zaczynają działać na polu międzynarodowym, zaczynają przemawiać do narodu niemieckiego. Ks. kardynał Frings ogłasza list w strefie brytyjskiej, w którym oświadcza: „kilka tygodni temu byliśmy zmuszeni dać wyraz naszej opinii o walających o pomste do Nieba wypadkach na Wschodzie Niemiec, szczególnie na Śląsku i Sudetach, gdzie ponad 10 milionów Niemców zostało brutalnie wyrzuco-

nych z ich domów, bez poszanowania osobistej własności. Pióro nasze nie jest zdolne do opisanie tego niewypowiedzianego, nędznego gwałtu i zupełnego nieposzanowania ludzkości i prawa. Wszyscy ci ludzie zostali stłoczeni w pozostałej części Niemiec i pozbawieni przedmiotów pierwszej potrzeby, a nawet żywności. Jest nieuniknione, że te masy wygnane stanowią poważne niebezpieczeństwo dla pokoju”. (Groża, przyp. red.) („Przegląd Zachodni” Nr 7 i 8; Aleksander Rogalski: „Akcja polityczna niemieckiego katolicyzmu”).

Arcybiskup Konrad Groeber w liście pasterskim mówi: „Czy to jest po chrześcijańsku i po katolicku? Czy da się to pogodzić z wdzięcznością, którą Polacy winni są całemu szeregowi kapłanów niemieckich?” (zwłaszcza kapłanów zakonu krzyżackiego, przyp. red.), mówi dalej: „Na skutek takiego traktowania narodu niemieckiego w całości pośrodku zatrute ziarno, które ku naszemu ubolewaniu zaczyna już kiełkować i rość. Nie potrzebuję wypowiadać się jaśniej. Twarde cioty młota nie zmiękają ani nie ugną niemieckiej stali, ni niemieckiego ducha. Jeżeli zapomnieliście o Śląsku i o innych krajach, z których was wyrzucano, nie byłibyscie godni własnej swej ojczyzny. Zapomnieć nie można i nie należy” (tamże).

Jesienią 1946 roku arcybiskup Konrad Groeber pisze nowy list pasterski, w którym atakuje Związek Radziecki i Polskę. W rozmowie z publicystą „Ce Soir” oświadcza: „Polska napadła na Niemcy i odpowiedzialna jest za drugą wojnę światową”. Rozmowę kończy zdaniem: „Niemiecka stal jest twarda, gdy się w nią uderza” (tamże).

Ci sami biskupi wyjeżdżają do Anglii, wyjeżdżają do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Przemawiają. Są życzliwie słuchani. Kampania jasno się tłumaczy. Wkrótce będą jej rezultaty. Znamy wszyscy list Ojca św. Piusa XII do episkopatu Niemiec. Przypomnijmy kilka jego zdań. Po oświadczeniu papieskim o miłości i współczuciu dla chrześcijańskiego narodu i ludu, „który w niezmierzonych próbach i cierpieniach naszych czasów ma podwójny tytuł do tego, aby wiedział, że serce i pasterska Opieka Namiestnika Chrystusa są mu bliskie”. Papież oświadcza: „na szczególne względy będą zawsze zasługiwać uchodźcy ze Wschodu, którzy ze swej ojczyzny na Wschodzie przymusowo i z wywłaszczeniem bez odszkodowania usunęli i do niemieckich strzel przeprowadzeni zostali. Kiedy do nich mówimy, to nie zajmujemy nas tak dalece punktem prawnym, gospodarczym i politycznym tego niebywałego w historii dziejów Europy wydarzenia. O tych punktach widzenia rozsądzi historia i obawiamy się, że rozsądzi surowo” (metoda groźby, przyp. red.), („Dziś i Jutro” Nr 19 (128)).

Nie znamy żadnej oficjalnej enuncjacji papieskiej w sprawie zagrabionej przez Włochy faszystowskie Abisynii mimo że był to kraj katolicki, przeciwnie wiemy o błogosławieństwie Ojca św. dla żołnierzy Mussoliniego, wiemy o błogosławieństwie papieskim dla frankistowskich falangistów; nie znamy żadnej enuncjacji, która by wyraźnie i ostro protestowała przeciwko milionowym mordom Polaków w obozach koncentracyjnych. Polska jest narodem w dużym procencie katolickim, jej tradycje walki „za wiarę” są znacznie większe niż tradycje narodu niemieckiego. W dzisiejszej sytuacji wedle oświadczenia Ojca św. na miłość i sympatię zasługuje właśnie społeczeństwo niemieckie, którego sfery katolickie w mundurach SS-manów tak samo palły i zamieniały w gruzы świątynie chrześcijańskie w całej Europie, tak samo popełniały do pieców krematoryjnych miliony Żydów z całej Europy.

Imperializm anglo-saski listami biskupów niemieckich, listami Ojca św. wbija klin w społeczeństwa narodów demokracji ludowych, pragnąc wygrać autorytetem papieskim katolików w tych krajach dla swojej sprawy.

Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rekonstrukcji

Ta międzynarodowa instytucja powstała dla celów bardzo szlachetnych, miała służyć pomocą finansową najbardziej zniszczonym wojną krajom. Co myśmy z tej instytucji otrzymali? Minister Przemysłu i Handlu Hilary Minc na III Zjeździe Przemysłowym w Szczecinie mówił: „Jesteśmy członkami Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rekonstrukcji. Chociaż niewątpliwie mieliśmy prawo pierwszeństwa, jako najbardziej poza Związkiem Radzieckim zniszczony kraj w Europie, stanęliśmy cierpliwie i skromnie w dość długim ogonku petentów o pożyczki tego Banku. Mogło się to nam podobać lub nie, ale zajęliśmy nasze miejsce w ogonku i uważaliśmy, że to jest w porządku. Ale kiedy się zaczyna przedstawiać ogonek, kiedy się stawia na pierwszym miejscu tych, co przyszli później i kiedy się usiłuje dopuścić do skarbcza dwa razy niektórych, kiedy myśmy nie zostali dopuszczeni ani razu, to my zaczynamy uważać, że coś już w tej sprawie jest nie w porządku.

Myśmy weszli do Banku, zgodnie z jego założeniami i z jego statutem, iako do międzynarodowej organizacji gospodarczej, która opiera swoje działanie na motywach gospodarczych. Kto może zaprzeczyć, że wszystkie, absolutnie wszystkie względy gospodarcze wymagają udzielenia nam pożyczki? Świadczą o tym niezliczone raporty, ekspertyzy, dane, referaty, cyfry, materiały. Kto może zaprzeczyć, że udzielenie pożyczki polskiemu przemysłowi węglowemu, polskiemu portom daje pewność, absolutną pewność szybkiego wzmocnienia eksportu węgla, który jest tak potrzebny dla szybkiej odbudowy Europy? Nie ma i nie może być względów gospodarczych, dla których przedłuża się udzielenie nam tej pożyczki. Chcemy wierzyć? Międzynarodowy Bank Odbudowy będzie się kierował w sprawach udzielania pożyczek państwom, które do niego należą — względami gospodarczymi, jak wierzyliśmy w to, wstępując do tego Banku, zgodnie z jego zasadniczymi założeniami”.

Na Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rekonstrukcji składają się kapitały państw zachodnio-europejskich. Demokracje zachodnie szermują tam gdzie trzeba hasłami chrześcijańskimi, szermują odwoływaniem się do poczucia ludzkości. Polska, kraj najbardziej zniszczony wojną, Polska o zburzonych miastach, zdewastowanych całych połaciach kraju, pozbawiona urządzeń naukowych i dzieł sztuki, uszczuplona o 6 milionów ofiar ludzkich — nie otrzymuje na pokojową odbudowę kraju z Banku Rekonstrukcji i Odbudowy ani grosza. Polsce wstrzymuje się pomoc UNRRA-y; w oczach Zachodu po ulicach naszych miast krążą dzikie zwierzęta, a na ludzi czyha śmierć z każdego kąta. Demokracje zachodnie wybaczą już Niemcom ostatnią wojnę. Mają w tym, jak już powiedzieliśmy, własny cel. Demokracje zachodnio-europejskie ze Stanami Zjednoczonymi na czele nie mogą znieść ustroju społecznego, który wyklucza wyzysk człowieka przez człowieka. Imperializm kapitalistyczny całą swoją nienawiść zwraca dziś przeciwko Związkowi Radzieckiemu i demokracji ludowej. Frederik L. Schuman w artykule „Dyplomacja szalbierska” mówi: „Marzenia tych, którzy przez 30 lat śnili o zniszczeniu Związku Radzieckiego są jednak nieśmiertelne. Marzyciele i kombinatory, którzy raz już wywołali katastrofę, doprowadzili do klęski, a ratunek swój zawdzięczają jedynie bohaterstwu i poświęceniu Związku Radzieckiego — nadal śnią swe dawne sny”. („Nowiny Literackie” Nr 30 (71)).

Odpowiedź

Czy wojna leży w interesie narodu amerykańskiego, czy leży w interesie amerykańskiej burżuazji przemysłowej? Społeczeństwo amerykańskie otumaniane jest dzisiaj według najlepszych wzorów propagandy hitlerow-

skiej. Działają na terenie USA specjalna komisja dla łepienia żywiołów antyamerykańskich (czytaj antykapitalistycznych). Prześladowani są intelektualiści i artyści za wyznawanie postępowych poglądów. Frederik L. Schuman pisze: „Amerykanie stoją w obliczu decyzji, którą muszą powziąć w roku 1948. Jeżeli wybiorą rządy terroru, strachu, nienawiści, ciemnoty, chciwości i głupoty — wydadzą prawdopodobnie wyrok śmierci na siebie, a kto wie czy i nie na całą ludzkość. Jeżeli postanowią wziąć się poważnie do rozwiązania problemów ery atomowej i powierzą władzę ludziom, którzy zachowali wiarę, miłość, rozum, wspaniałomyślność i inteligencję — byśmy nam nadzieja lepszych czasów i lepszego życia przez wszystkie lata, które przyjdą. Wybór jest trudny, ale nieurlokniony. Gdy będzie trafny — przyniesie wspaniałe owoce, gdy będzie błędny — może być fatalny w skutkach.

Czy Ameryka potrafi dokonać właściwego wyboru — zależy to m.in. od tego, czy zdoła trafnie ocenić politykę swego Departamentu Stanu za rządów Trumana i Marshalla” (tamże).

Kapitalizm w swojej fazie imperialistycznej mobilizuje wszystkie środki, przy pomocy których mógłby utrzymać się na powierzchni. Rzucą dziś milionowe sumy na badania naukowe, by wyniki ich zużyć dla swoich ohydnych celów. Mobilizacja dzisiaj, musi być dwustronna. Na konferencji liberalistycznej młodzieży w Londynie odpowiadamy Międzynarodową Konferencją Młodzieży Pracującej — w Warszawie. Tajnej konferencji w Filadelfii „dozbrojenia moralnego” odpowiadamy Światowym Kongresem Intelektualistów w Obronie Pokoju. Wysłomkowców amerykańskich, oddanych w służbę kapitalizmowi musimy przeciwstawić wysiłki polskich badaczy, naukowców Związku Radzieckiego i narodów demokracji ludowych. Wyrażają to słowa profesora politechniki warszawskiej dra Wojciecha Świętosławskiego na II Ogólnokrajowej Konferencji Rektorów i Profesorów Wyższych Uczelni: „Dla wszystkich stało się jasne, że miliardowe sumy dolarów przeznaczone przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej na popieranie badań naukowych wszelkich kierunków, od humanistycznych począwszy, skończywszy na bezpośrednio związanych z rozwojem gospodarczym a także militarnym, zużyte zostaną na nadanie nienowoczesnego dotychczas rozwoju w nauce i technice. Stało się dla wszystkich zrozumiałe, że chodzi tu o wyprzedzenie wszystkich narodów i to w takim stopniu, aby praktycznie było niemożliwe prześcigniecie tego kraju zarówno pod względem militarnym jak też przemysłowym. Fakt ten zaważy niewątpliwie na dalszym biegu wypadków i pobudzi inne mocarstwa do podjęcia rzuconej rękawicy. Będą dokonane wielkie wysiłki, aby się nie dać wyprzedzić przez to mocarstwo, a niewątpliwie będzie dążność do wyprzedzenia go, mimo że w chwili obecnej kroczy ono na przedzie zarówno pod względem twórczości jak też wprowadzania nowych metod wytwarzania. Rozpocznie się, a raczej już się rozpoczęła, walka mocarstw o prymat w twórczości, wynalazczości i w stopniu uprzemysłowienia poszczególnych wielkich krajów”.

M. K.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”

A. Dorabalska — Marija Skłodowska Curie i Piotr Curie, str. 144.

J. Cronin — Gwiazdy patrzą na nas, tom. I, str. 282, tom. II str. 295.

Wolter — Tak toczy się świat, str. 256.

Dr H. Wereszycki — Historia Polski 1864 — 1918, str. 368.

Janina Przeworska — Serca pod zgrzebnym płótnem, str. 157.

Murger — Cyganeria, str. 401.

Irving Stone — Pasja życia, str. 495.

Kunciewiczowa Maria — Klucze.

Kunciewiczowa Maria — Cudzoziemka, str. 243.

Broniewski Władysław — Wiersze zebrane, str. 207.

Rusinek Michał — Burza nad brukiem, str. 179.

Borowski Tadeusz — Pożegnanie z Marią, str. 179.

KOMUNIKAT

Komitet Organizacyjny VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich, który odbędzie się we Wrocławiu 19—22 września rb., zawiadamia, iż wobec upływu terminów zgłoszeń uczestnictwa oraz przekroczenia przewidywanej liczby zapisów, nie może zapewnić osobom obecnie zgłaszającym się bezpłatnego zakwaterowania i wyżywienia. Z tym zastrzeżeniem Biuro Zjazdu we Wrocławiu (Szewska 49) nadal przyjmuje zapisy. Wkładke zjazdową (1000 zł. z wydawnictwami, 500 bez wydawnictw) należy wpłacać na konto PKO Wrocław. VIII-1862.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000,— zł; 1/2 kolumny 30.000,— zł;

1/4 kolumny 15.000,— zł; 1/8 kolumny 8.000,— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60,— zł, kwartalnie 180,— zł, półrocznie 360,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2.

D—030240